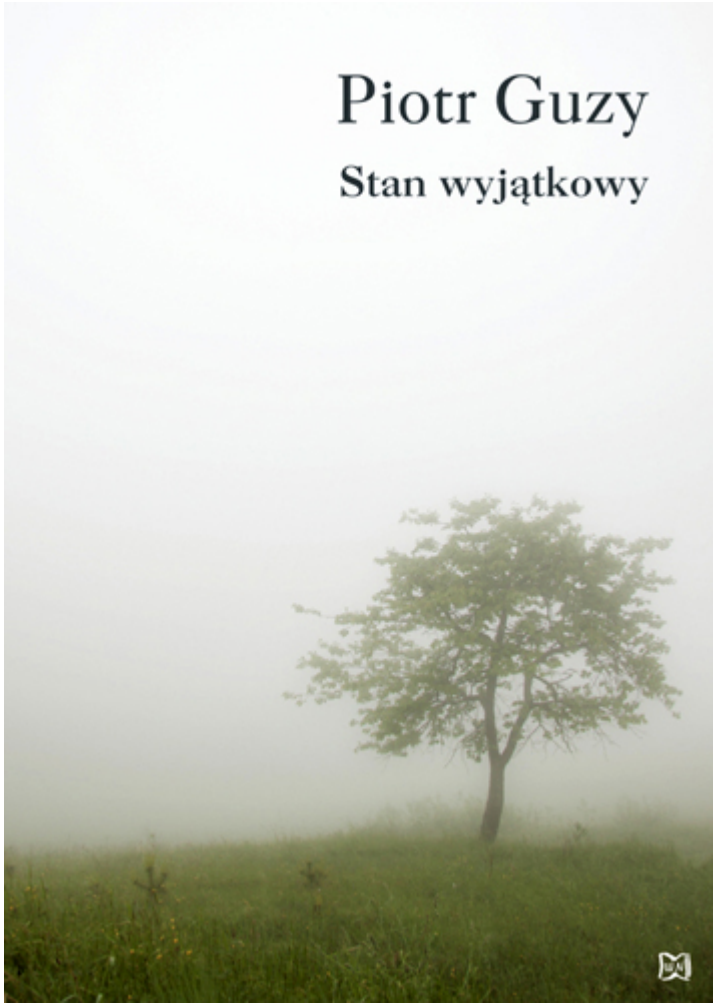
Upiorne echa przeszłości – „Stan wyjątkowy” Piotra Guzego

Marcelina Janisz

W 2015 roku nakładem opolskiego wydawnictwa „Nowik” zostały wydane trzy książki Piotra Guzego: zbiór opowiadań *Odwiedziny u duchów i inne opowiadania*, *Krótki żywot bohatera pozytywnego* oraz *Stan wyjątkowy*. Autor w wieku 93 lat postanowił jeszcze raz przypomnieć o swojej prozie w Polsce, wznawiając edycję swoich utworów w jednym wydawnictwie, tworząc w ten sposób zamkniętą całość.



Rodzinne strony Piotra Guzego to Zawadzkie oraz Tarnowskie Góry. Życiorys pisarza naznaczony jest wojennymi doświadczeniami, jako żołnierz walczył w Pierwszej Dywizji Pancernej gen. Stanisława Maczka. Wraz z rodziną powrócił do Polski w 1949, podjął pracę jako dziennikarz w „Gazecie Poznańskiej” i „Tygodniku Zachodnim”. W połowie lat 50. XX wieku. opublikował w kraju cztery powieści sensacyjne, szpiegowskie: *Następny odchodzi 22:25* (1955); *Nocny zrzut* (1955); *Cienie na gwiazdach* (1956) i *Wenus z brązu* (1956). Rok 1957 stał się kolejnym punktem zwrotnym w życiu pisarza.

Wówczas zdecydował się przedostać do Anglii. Pracował w biurach miejskiej gazowni, po roku otrzymał pracę w monitoringu radiowym BBC. W 1968 roku zaproponowano mu stanowisko redaktora w Rozgłośni Radio Wolna Europa w Monachium. Współpracował także z pismami „Kultura" i „Wiadomości", w których publikował teksty literackie, artykuły i recenzje.

Na emigracji ukazały się jego najbardziej znane i cenione przez krytyków powieści: *Krótki żywot bohatera pozytywnego* (wyd. Instytut Literacki, 1966) oraz *Stan wyjątkowy* (wyd. Instytut Literacki, 1968), które zostały nagrodzone i wyróżnione przez literackie środowiska emigracyjne[1]. Za *Krótki żywot bohatera pozytywnego* otrzymał nagrodę paryskiej „Kultury" (w 1967 roku), zaś *Stan wyjątkowy* uhonorowano nagrodą „Wiadomości"[2]. Jeszcze dwukrotnie – w 1972 i 1973 roku – był nagradzany przez londyńskie pismo za utwory drukowane na jego łamach.

W 1977 roku Piotr Guzy wyjechał do Hiszpanii, gdzie obecnie mieszka w miasteczku Daimuz pod Walencją. Będąc już na emeryturze, poświęcił się całkowicie pisarstwu, publikując trzy kolejne powieści: *Wielkie nieszczęście* (wydaną we fragmentach w 1983 roku przez Oficynę WE); *Requiem dla pani Tosi* (wyd. Aneks, 1990) oraz *Zwidy na wysokościach* (wyd. Krajowa Agencja Wydawnicza, 1994). kraju jego opowiadania ukazały się

na łamach „Zeszytów Literackich” (*Będziesz miłował kata swego* 1984, nr 7; *Że ona jest, że w ogóle jest,* 1999, nr 67; *Wstyd*, 2006, nr 94; *Odwiedziny u duchów*, 2007, nr 97; *Ostatnia posługa*, 2009, nr 107); „Odry” (*Biedna Lilo*, 2012, nr 10); „Śląska” (*Frieda*, 2013, nr 7/8) oraz „Frazy” (*Mała Nusia z misiem,* 2013, nr 4).

Powieść *Stan wyjątkowy* pierwotnie była wydana w 1968 roku przez Instytut Literacki w serii – Biblioteka „Kultury” jako tom 159. Została ona uhonorowana przez londyńskie „Wiadomości” w kategorii za najwybitniejszą książkę pisarza polskiego wydaną na emigracji w 1968 roku. Zdaniem autora jest to jego najlepsza powieść, która nie doczekała się szczegółowych omówień i recenzji.

Drugie wydanie *Stanu wyjątkowego* Piotra Guzego to szansa na ponowne odczytanie powieści przez pryzmat współczesnego odbiorcy. Stanem wyjątkowym staje się polska historia, w którą uwikłane są ludzkie losy. To stan zagrożenia, niebezpieczeństwa, dominacji strachu, ale i wewnętrznego labiryntu wypełnionego głosami przeszłości:

> tak to się powtarza w tym kraju z jakąś piekielną regularnością z pokolenia na pokolenie i każde pokolenie po kolei łudzi się, że jego cierpień starczy już na wszystkie

> czasy i nigdy więcej, ale temu nigdy nie ma końca, zawsze żyjemy w stanie wyjątkowym, ledwie jedne rany się zagoją, ledwie człowiek trochę odzipnie, już jakaś nowa zawierucha (s.9).

Powieść *Stan wyjątkowy* składa się z czterech, integralnych segmentów, w każdym z nich czytelnik poznaje indywidualną, osobistą historię członka rodziny Niesztorów. Pierwsza część, ukazuje historię Jadwigi Niesztorowej, matki i seniorki rodu, która mieszka wraz z córką, wynajmując pokoje młodym kobietom. Podczas codziennych, rutynowych czynności, rozmów, kobieta wspomina przeszłość:

> duchy moich umarłych nie opuszczają mnie nigdy, trwam w świecie umarłych i w świecie żywych, ani tu, ani tam całkowicie, rozerwana, skłócona ze sobą, bez przerwy grzebię w pamięci jak w kupie rozrzuconych klocków, z których chciałoby się sklecić logiczną całość, lecz wszystko się ciągle na nowo rozsypuje (s.6).

Jej mąż – Stefan oraz synowie zginęli rozstrzelani przez gestapo. Obrazy wojny przeplatają się z jej intymną historią – śmiercią ojca zastrzelonego i powieszonego przez Ukraińców, zdradą męża, fascynacją cielesnością, tęsknotą za synem Jurkiem, który

walczył w Armii Krajowej, a teraz poszukiwany jest przez Urząd Bezpieczeństwa. Opisywane wydarzenia mają miejsce w 1947 roku, kiedy to ustrój komunistyczny powoli zaczynał się formować w Polsce.

Akcja drugiej części została osadzona w 1945 roku. Roman Niesztor, były żołnierz walczący pod dowództwem generała Maczka, próbuje odnaleźć swoją żonę Aleksandrę w jednym z niemieckich obozów. Podczas swoich poszukiwań obserwuje Niemców, nie potrafi im wybaczyć, szuka zemsty. Jego myśli podążają ku wspólnej przeszłości, retrospekcje ujawniają dychotomiczny niejako stosunek do żony, którą na równi darzy zarówno miłością jak i nienawiścią. Źródło takiej postawy wobec Aleksandry tkwi w jej niewierności, ucieczkach i powrotach, a przede wszystkim w negatywnym odniesieniu kobiety do macierzyństwa. Żona próbowała za wszelką cenę poronić, aby nie obdarzyć męża potomkiem. Jej stosunek do dziecka nie zmienił się nawet po porodzie, czego nie mógł zrozumieć i wybaczyć główny bohater.

Trzecia część usytuowana jest w 1957 roku, w okresie amnestii politycznych po odwilży październikowej. Z więzienia po 11 latach wychodzi Jurek, który odwiedza swojego brata Romana oraz bratanice – Joasię i Wandę i siostrę Helenę. Jego historia tworzy kolejną część dramatycznej układanki. Uznany za wroga przez władze PRL, były żołnierz AK, powraca do domu na

Wigilię. Przed jego oczami stają znowu obrazy zamordowanego przez gestapo ojca i braci. Przeszłość wywołuje w nim wyrzuty sumienia. Bohater czuje się winny śmierci bliskich, swoją nieostrożnością i działalnością dywersyjną, sprowadza na rodzinę niebezpieczeństwo. Kolejną zadrą z przeszłości Jurka jest romans i zdrada ojca. Młody wówczas bohater nie potrafi pogodzić się z tą sytuacją, staje jednoznacznie po stronie skrzywdzonej matki. Postanawia sam rozmówić się z kochanką ojca. Podczas spotkania dochodzi do ich zbliżenia, mimowolnym świadkiem staje się ojciec Jurka. To wydarzenie kładzie się cieniem na relacjach syna z ojcem.

Bohaterką ostatniej części powieści Guzego jest Wanda Niesztor, córka Romana, która przybywa na proces hitlerowskiego oprawcy Wieshoffa, eksperymentującego na więźniach w obozie koncentracyjnym. Dziewczyna dowiaduje się, że zbrodniarz jest jej biologicznym ojcem. Świadomość, że jest owocem okrutnego związku, w którym matka była ofiarą, nie daje jej spokoju. Pragnie poznać swoją prawdziwą tożsamość. Podczas spaceru po niemieckim mieście budzą się w niej koszmary związane z obozem koncentracyjnym, w którym przebywała jej matka. Nie może pamiętać tych zdarzeń, ale ich intensywność i emocjonalność pokazują, że matka oprócz życia przekazała jej także strach, ból, dziedzictwo dziecka obozów. Jej opowieść dopełnia historię losów Aleksandry Niesztor, żony Romana, który zaopiekował się Wandą, wracając z nią do Polski.

Powieść Piotra Guzego obrazuje różne oblicza zła, bolesną, jątrzącą się polską przeszłość oraz naderwane więzi międzyludzkie, zaburzone relacje między rodzicami, a dziećmi, mężem a żoną. Każdy z bohaterów – matka, która straciła swoich najbliższych podczas wojny, syn szukający swojej żony, człowiek, poświęcający w imię ojczyzny swoje życie i bliskich, córka zbrodniarza nazistowskiego i więźniarki, wciąż od nowa próbują przetrawić, zrekonstruować dramatyczną przeszłość. Tytułowy stan wyjątkowy istnieje w każdym z nich, podszyty strachem, nienawiścią, zazdrością, bezradnością, zatruwając psychikę i teraźniejszość każdej z postaci. Sposób prowadzenia narracji ujawnia głębokie rysy psychologiczne, nagromadzenie myśli, nieskładnych, wypływających lawinowo, łączących przeszłość z chwilą obecną, a także nieustannie powtarzanie zdań, dają poczucie ogromnej realności. Autor uzewnętrznia swoje postacie, wnika w ich sferę intymności, wplata w tok opowiadania ich myśli, fantazje, emocje, rodzące się w wyniku zderzenie się ze złem czy to pod postacią wojny, gestapo, śmierci, obozów koncentracyjnych, władzy komunistycznej. Najbardziej dramatyczną postacią wydaje się być Jurek, w okresie wojny bohater, a przez władze PRL uznany za wroga i zdrajcę.

W czterech kadrach, wypełnionych gąszczem myśli, mozaikowych obrazów przeszłości, precyzyjne zostają uchwycone wszelkie demony pokolenia rodziny Niesztorów. Powtarzające się jak mantra zdania (np. *„A jakież to prawo ty*

sobie uzurpujesz, żeby własnego ojca sadzić?”; „Twoja matka potrafiła mi przebaczyć, a ty nie potrafisz?”; „Żebyś wiedział, powiedziała, jakich ja rzeczy nie robiłam, żeby się tego dziecka, Ukarzę cię za to, wyrodna matko, ty!”), pojawiające się nagle, zaburzające tok fabularny brzmią w powieści jak wyrzut sumienia tych, którzy zginęli, odeszli. Znamienne daty 1 listopada, 3 listopada, 24 grudnia oraz 23 czerwca mają wymiar nie tylko symboliczny, nawiązujący do listopadowego święta zmarłych, Wigilii czy dnia ojca lecz każda z tych dat rodzi dodatkowy kontekst. Szczególnie listopad ewokuje wspomnienia bliskich zmarłych, tradycja wigilijnej wieczerzy również nawiązuje do nostalgicznej zadumy i tęsknoty za nieżyjącymi krewnymi. Dzień ojca przypadający 23 czerwca natomiast obrazuje trudne relacje między dzieckiem a ojcem. Portret rodzica jest pokryty grubymi i głębokimi rysami w postaci małżeńskiej zdrady, rywalizacji z synem, okłamywania najbliższych osób. W przypadku Wandy – ojcem okazuje się być potwór, skazujący tysiące ludzi na śmierć w obozie koncentracyjnym.

Zło w powieści *Stan wyjątkowy* przybiera różne oblicza, kryje się w słowach bohaterów, ich zapętlonych myślach. Nie można go pogrzebać wraz z końcem wojny, mrok stalinizmu spowija Polskę:

> człowiek stracił zaufanie do świata, do siebie, drugiego człowieka, zresztą co to jest za pokój? ludzie boją się jak za okupacji, nawet gorzej, wtedy się wiedziało, kto wróg i dlaczego, a dzisiaj? mówią, że Polacy, a zachowują się jak najwięksi wrogowie”(s.17).

Wojna rozkłada w człowieku to, co ludzkie – Roman, były żołnierz snuje na jawie koszmarne wizje zagłady Niemców oraz wcielenia w życie kodeksu Hammurabiego. Stany wyjątkowe napędzają machinę zła, strachu. Czy wiara lub Bóg mogą pomóc zrozumieć wojenne piekło, tortury, obozy? Bohaterowie powieści Guzego bezradnie pytają Boga o sens cierpienia, wojny, zagłady. Nie znajdują odpowiedzi, ponieważ słowa tracą znaczenie w obliczu piekła, obumierają, rozsypują się w pył korpusy moralne, kategorie dobra i zła – pozostaje goły, mroczny instynkt. Wybory bohaterów zdają się mieć zwielokrotnione konsekwencje, które

> wloką się przez całe życie, rozprzestrzeniają się jak kręgi na wodzie, coraz większe, coraz więcej zgarniające ludzi, których los został nieopatrznie wprzęgnięty w łańcuch przyczyn i skutków, z którymi nie mieli nic wspólnego (s.127).

Powieść zdaje się składać z fragmentarycznych obrazów, tkwiących głęboko w pamięci. Postacie stworzone przez Guzego żyją zawieszone w dwóch światach – przeszłości i teraźniejszości. Na ich portrety, ukazywane jakby przez mgłę, splatają się wspomnienia, koszmary, wyobrażone, alternatywne zdarzenia, domysły. Pomimo nakładania się niektórych obrazów i wydarzeń, obserwowanych z perspektywy kilku bohaterów, nie poznajemy szczegółowo losów rodziny Niesztorów. Autor nie stosuje prostych konstrukcji zdaniowych, przeplata narrację, wydarzenia, odwzorowując mętlik panujący w ludzkiej psychice. W umyśle zderzają się i polemizują różne głosy, należące do sumienia, wewnętrznego „ja" czy wyobrażonego obserwatora. Mowa wewnętrzna, monologi, techniki strumienia świadomości, wskazują na narrację personalną, bliską konstrukcji powieści psychologicznej.

Polska historia w oczach bohaterów *Stanu wyjątkowego* to nieustanne odradzanie się mechanizmów, które odbierają ludziom poczucie bezpieczeństwa i wolności. Wielka historia przekłada się na losy rodziny, każdego z jej członków, płynąc w krwi i zakotwiczając się w pamięci dziadków poprzez dzieci i wnuki. Nie ma możliwości obrony przed machiną wojny czy totalitaryzmu, historię tkają ludzie, ich działania, obierane drogi i cele. Autor akcentuje, że zło nie jest tworem wyobcowanym, jednobarwnym, bezpostaciowym. Jest trucizną, przenikającą do sfery ludzkiego umysłu, podsycającą żywioł destrukcji i

niszczenia. Czy jest to przestrzeń wojenna czy świat PRL-u, ludzie są niewolnikami własnych traum, strachu, nieufności. Postacie *Stanu wyjątkowego* nie rozmawiają na trudne tematy, spychają przeszłość w stronę tabu, tylko indywidualnie, we własnych umysłach próbują nazwać to, czego słowa nie potrafią wyrazić. Proza Piotra Guzego w warstwie narracyjnej przypomina miejscami *Bramy raju* Jerzego Andrzejewskiego.

Stan wyjątkowy Piotra Guzego był mocnym i stanowczym głosem, traktującym o polskiej przeszłości i współczesności PRL-u, tematach tabu (chociażby o polskim antysemityzmie podczas wojny czy w czasach komunizmu), działaniach UB i inwigilacji polskich obywateli. Środowisko emigracyjne doceniło autora za oryginalność, zaskakującą autentyczność, jak twierdził jeden z członków jury, wybierający najlepszą książkę roku 1968 na emigracji – Juliusz Sakowski:

> Martyrologia polska ukazana jest tu w sposób odmienny od wszystkich znanych nam w literaturze (…). Tyle jest książek o rzeczywistości wojennej i powojennej, o Polakach i kleszczach czy to bezpieki czy gestapo, a tu po raz pierwszy widzimy tę upiorną rzeczywistość w innym przekroju i innym napięciu, tętniącą nieznanym dotąd rytmem („Wiadomości” 1969, nr 25, s. 2.).

Czy również dzisiaj autor będzie mógł zachwycić czytelnika tak jak prawie pół wieku temu?

Atutem *Stanu wyjątkowego* jest jego forma, psychologiczne fascynacje pamięcią, przeszłością, a także pogłębione analizy funkcjonowania zła obecnego w rzeczywistości XX wieku. Być może wszystko już zostało opisane, przetrawione, a wszelkie zbrodnie wojenne i stalinowskie ujrzały światło dzienne. Nie sposób jednak tych osobistych historii wyprzeć z pamięci. Mroczne czasy wracają niczym bumerang i odzywają się w umysłach pojedynczych jednostek – świadków i uczestników wplatanych w historię. Guzy oddaje głos swoim postaciom, obserwatorom, pozostawiając ich samym sobie. Czytelnik, tą polifoniczność labiryntów myśli, musi rozszyfrować sam.

Piotr Guzy, *Stan wyjątkowy,* wyd. II, Opole, „Nowik" 2015.

[1] Jerzy Giedroyc uznał powieść *Krótki żywot bohatera pozytywnego* za „rzecz o wielkiej wartości", wydając ją w Bibliotece "Kultury". Zob. J. Giedroyc, *Autobiografia na cztery ręce*, Warszawa 1994, s. 197

[2] Powieść *Stan wyjątkowy* została uhonorowana przez londyńskie "Wiadomości" w kategorii za najwybitniejszą książkę pisarza polskiego wydaną na emigracji w 1968 r.

Artystka wszechstronna. Krystyna Sadowska (1912-2000).



Krystyna Sadowska, fot. arch. Stefana Siwińskiego.

Joanna Sokołowska-Gwizdka

Krystyna Sadowska z domu Kopczyńska urodziła się w Lublinie. Studiowała malarstwo, tkactwo, ceramikę i litografię w

Warszawskiej Akademii Sztuk Pięknych (1930-34), malarstwo w Grande Chaumiere w Paryżu (1940) i garncarstwo w Central School of Art and Craft w Londynie (1945-46). W 1937 roku została przez polski rząd wysłana do Brazylii, do stanu Parana, aby pomagać polskim imigrantom. Uczyła ich rękodzieła i stworzyła kolonię tkaczy z 60-cioma krosnami. Aby nadzorować rzemieślników, codziennie na koniu objeżdżała ich oddalone od siebie domy.

W tym czasie poznała Konrada Sadowskiego, który był instruktorem fizyki dla dzieci polskich imigrantów. Konrad Sadowski został poproszony, aby dostarczył jej dwie wiadomości, dobrą i złą. Jedna to taka, że dostała złoty medal za gobelin, wystawiony na wystawie w Paryżu, a drugą, że... zmarła jej matka. W krótkim czasie pobrali się i wrócili do Polski. Kiedy Rosjanie najechali ich rodzinne tereny, Sadowscy uciekli na Węgry, a potem skierowali się do Paryża. Konrad został pilotem polskich sił lotniczych, a Krystyna kontynuowała studia artystyczne w Grande Chaumiere. Po najeździe Francji przez nazistów, wyjechali do Algieru, a stamtąd, we wrześniu 1940 roku, przedostali się do Anglii. Konrad Sadowski służył w R.A.F. Razem prowadzili wystawy dla polskiego rządu na uchodźstwie. Po wojnie Krystyna studiowała garncarstwo w Londynie i namówiła męża, aby również studiował ten sam kierunek. Po skończeniu studiów wrócili do Parany w Brazylii, gdzie otworzyli studio artystyczne. Ponieważ się wyróżniali, zostali zaproszeni na

wystawę do Rio. Gobelin Krystyny pt. „Marzenie o Kanadzie” przyciągnął uwagę kanadyjskich oficjałów. Otrzymali zaproszenie do Kanady i ofertę pracy dla rządu Nowej Szkocji. Zgodzili się i wyjechali, aby uczyć ceramiki w rządowym studio w Halifaxie. Potem przenieśli się do wioski rybackiej Indian Harbour, położonej niedaleko Peggy’s Cove. W starym domu urządzili studio ceramiczne i malarskie, kontynuowali pracę edukacyjną, zaczęli też produkować ceramikę i gobeliny na wystawy oraz sprzedaż. Podczas pożaru część studia i prac została zniszczona, lecz oni odbudowali je w ciągu paru miesięcy.

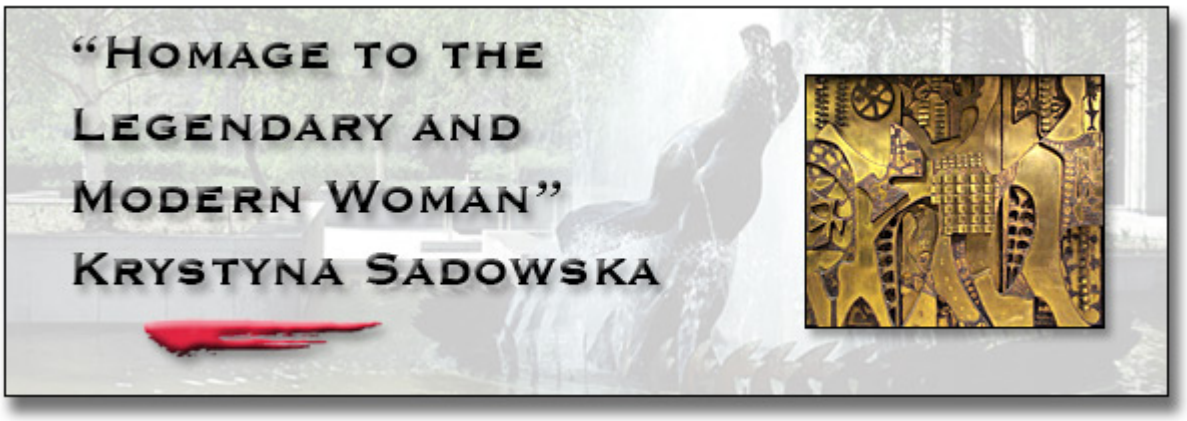
Pewnego dnia odwiedził ich studio dyrektor Ontario College of Art, L. A. C. Panton, który przebywał w Nowej Szkocji podczas podróży malarskiej. Gdy zobaczył ich prace był pod tak dużym wrażeniem, że w następnym roku poprosił ich, aby dołączyli do pracy w szkole. W 1953 roku Sadowscy przenieśli się więc do Toronto i zaczęli pracować w Ontario College of Art. Założyli też studio w Aurorze, a w czasie lata jechali do studia w Indian Harbour, które zatrzymali.

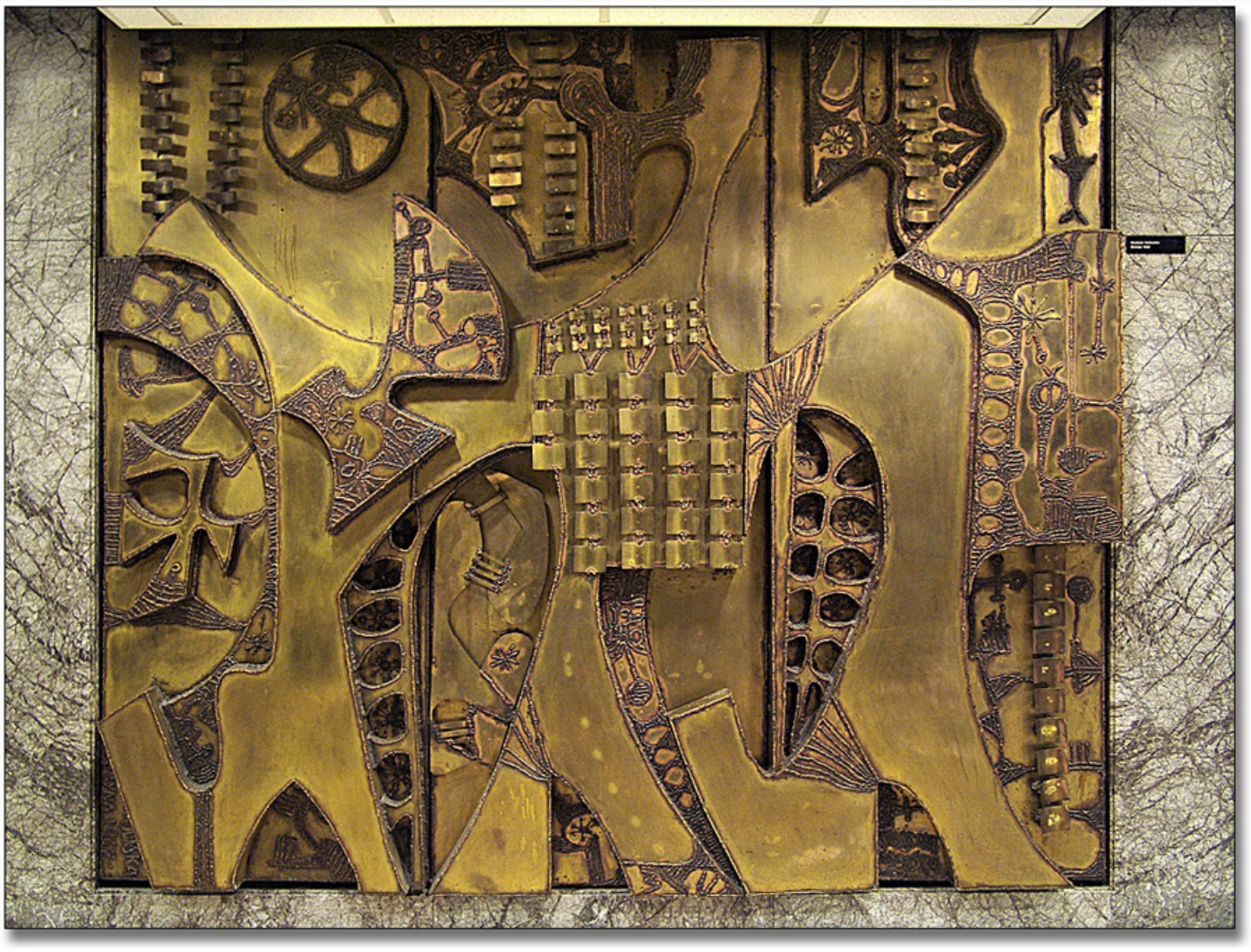
W Toronto Krystyna stała się nauczycielką ceramiki, projektowania i ceramicznej rzeźby. Kariera artystyczna Sadowskich się rozwijała, a po pewnym czasie Konrad stwierdził, że jego zainteresowania idą bardziej w kierunku manipulacji formą, glazury, politury, technik wypalania, podczas gdy Krystyna ewoluowała w kierunku sztuki dekoracyjnej.

W 1960 roku zmarł Konrad Sadowski. Krystyna opuściła College i zaczęła pracować samodzielnie. Reprezentowała ją galeria Dorothy Cameron. Później wyszła ponownie za mąż za Stefana Siwińskiego, znanego projektanta i wytwórcy mebli. Cały czas rozwijała różne techniki artystyczne. W 1969 roku Andrzej Wolodkowicz napisał o Krystynie i jej sztuce:

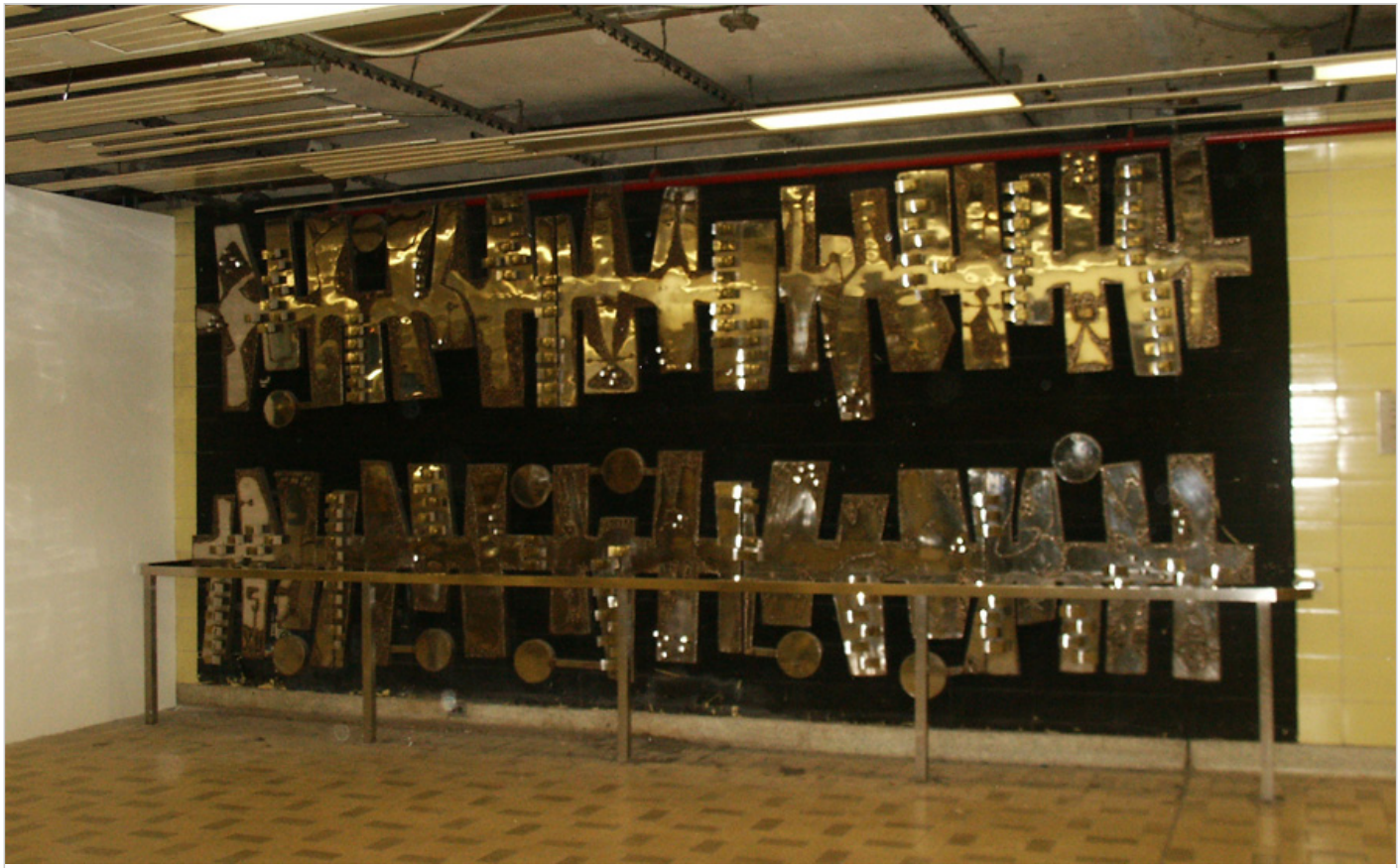
> W gobelinach, projektach batików i rzeźb, Krystyna Sadowska pokazuje głębokie zainteresowanie starożytnym mitem i legendą. Jej gobeliny i wiszące na ścianach batiki, spotkały się z uznaniem krytyki zarówno w Kanadzie, jak i na międzynarodowej scenie. Jej znakomite batiki są kulminacją wielu lat pracy w gobelinach i innych formach wiszących, których stworzyła wiele. Widać w nich skalę siły Sadowskiej. Jej spawane rzeźby i obrazy są dziś niezwykle ekscytujące. Widać bliski związek w pracach tworzonych w tych dwóch mediach. Spawane rzeźby posiadają wysoce indywidualny styl, pełen życia. Wiele z jej prac wydaje się sugerować organiczne powstanie i wybuchowy wzrost, charakterystyczny dla tropikalnych roślin.

Studio Krystyny Sadowskiej mieściło się przy Spadina Ave. Gdy wyszła za mąż za Stefana Siwińskiego, jej studio znajdowało się przy jego fabryce mebli na Parlament Street niedaleko King Street w Toronto.





Krystyna Sadowska, Bronze 1968 (261.6 x 302,3 cm), z kolekcji rządu Kanady, budynek Ministerstwa Edukacji przy Bay Street w Toronto, fot. J. Sokołowska-Gwizdka



Krystyna Sadowska, metalowa płaskorzeźba, stacja metra Finch w Toronto, fot. J. Sokołowska-Gwizdka

W 1977 roku artystka miała pierwszą retrospektywną wystawę w Art Gallery of Windsor. Wtedy dziennikarka „Windsor Star” Marta Gervais napisała:

> Stalowa rzeźba obciętego, skręconego i torturowanego Chrystusa, który jedną ręką łapie powietrze, jest ponad niedużą kobietą, która stoi poniżej tej rzeźby. Tą kobietą jest artystka Krystyna Sadowska, a postać Chrystusa jest zachowaną przez nią pamięcią Polski, która wycierpiała

bombardowania podczas II wojny światowej. Ona żywo pamięta 1939 rok, ponieważ uciekła ze swojego kraju w obawie przed zesłaniem na Syberię. W czasie swej ucieczki w śniegu na Węgry, niosła ze sobą obraz spalonego, złamanego krucyfiksu, który został porzucony w opustoszałym kościele. W 1963 roku utworzyła ze stali tę rzeźbę i zatytułowała ją „Pieśń spalonych miast". Ten kawałek metalu przedstawia jej sztukę bardziej niż inne prace pokazane na pierwszej retrospektywnej wystawie w Art Gallery of Windsor. Skromność Krystyny, jej delikatność, absolutna uczciwość i szczerość oraz zainteresowanie ludźmi uciśnionymi pojawiają się w tej połamanej figurze Chrystusa, który ironicznie odmawia, aby umrzeć na krzyżu. Ręka ścigająca dłoń jest dla niej pożądaniem ekspresji i twórczości wolnej od nacisku dyktatorów, dla której ryzykowała życie przy ucieczce. Zdumiewającym jest, że to jej życzenie zakwitło w różnych mediach. Dzisiejsza wystawa jest pierwszą od 40 lat jej kariery, która pokazuje jednocześnie szerokie spektrum jej prac. Są tu nie tylko stalowe rzeźby, ale rysunki i szkice, collage i batiki oraz obrazy. Wolność ekspresji pojawia się nie tylko w wyborze więcej niż jednego medium. Przedmioty tworzone przez Krystynę mają wolnego ducha, marzące syreny, igrające duszki, diabły, jak również kilka klasycznych bogów z mitologii, które są często przedstawiane w erotycznych tańcach.

– Chciałabym być młodsza i chciałabym zrobić coś nowego – mówi Krystyna. Komentarz o młodości jest ironiczny, ponieważ postacie z jej prac są młode, wibrujące i żywe, a jej wiek widać tylko w ilości prac, które zdołała zebrać na ten pokaz. Ona tylko wzrusza ramionami na tą wystawę, dodając, że jest na prawdę zadowolona, ale teraz wie, że powinna zrobić coś innego i o tym teraz myśli…



Kościół Wszystkich Świętych, Toronto-Etobicoke, Ontario, fot. J. Sokołowska-Gwizdka



Ołtarz i inne przedmioty sakralne w kościele Wszystkich Świętych w Etobicoke, rzeźbione w metalu, są autorstwa Krystyny Sadowskiej, fot. J. Sokołowska-Gwizdka



Ołtarz i inne przedmioty sakralne w kościele Wszystkich Świętych w Etobicoke, rzeźbione w metalu, są autorstwa Krystyny Sadowskiej, fot. J. Sokołowska-Gwizdka



Świecznik autorstwa Krystyny Sadowskiej w kościele Wszystkich Świętych, w Etobicoke, fot. J. Sokołowska-Gwizdka



Kropielnica autorstwa Krystyny Sadowskiej w kościele Wszystkich Świętych, w Etobicoke, fot. J. Sokołowska-Gwizdka

Wystawy indywidualne:

St. George Gallery, Lond., Eng. (1946); Rio de Janeiro, Brazil (1947); Curitiba, Brazil (1948); Henry Morgan, Mtl. (1950); Memorial Library Halifax (1953); Dorothy Cameron Gallery, Tor. (1964); Art Gallery of Windsor (1977) i wiele innych w Kanadzie i poza Kanadą.

Zamówione prace:

Cztery batiki dla Winnipeg Airport; batik dla Volkswagen, Scarborough; wisząca metalowa rzeźba z czarnej stali dla szkoły w Scarborough; wielka metalowa rzeźba ścienna dla Calgary House, Alta. (black steel approx. 9 ft. x 27 ft.); rzeźba ze stali nierdzewnej dla Executive Office w Toronto Dominion Bank (5 ft. wide, 9 ft. high); rzeźba ze stali nierdzewnej dla Rio Algom (9 ft. x 20 ft.); Christ of the burned cities dla Jesuits' College, Tor.; rzeźba wysoka na 7 ft. dla Mt. Thoma Ibronyi; ścienny relief „Homage to the Legendary and Modern Woman" dla rządu Ontario, Queen's Park Project (9 ft. 8″ wysoki, 10 ft. szeroki, 1967); rzeźba dla Mr. Kelly Office Bldg., Tor.; wielka ścienna instalacja, dla Etobicoke Bd. of Ed. Bldg.; rzeźba dla Laverne, NYC (6 ft. wysoka x 4 ft. szeroka); wielka stalowa rzeźba „Ear1y Morning Dream" dla Univ. Waterloo; rzeźba ze stali nierdzewnej „Mermaid" dla Royal Bank Plaza, Tor. (1976) o wiele innych.



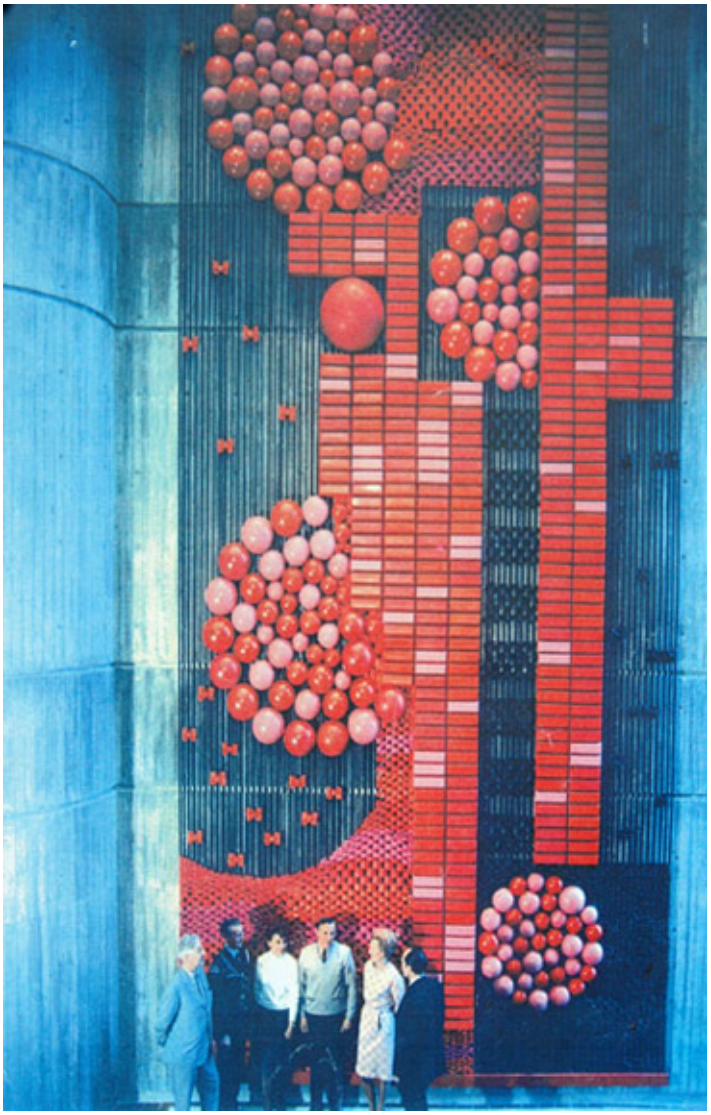
Toronto District School Board, Civic Centre Court, Toronto-Etobicoke, Ontario, fot. J. Sokołowska-Gwizdka



Toronto District School Board, Civic Centre Court, Toronto-Etobicoke, Ontario, fot. J. Sokołowska-Gwizdka



Krystyna Sadowska, kompozycja w budynku Toronto District School Board, fot. J. Sokołowska-Gwizdka.



Krystyna Sadowska, kompozycja w budynku Toronto District School Board, na zdjeciu m.in. autorka i Wacław Iwaniuk, fot. arch. Stefan Siwiński

Nagrody:

Gold Medal for tapestry, French Govt., World Exhibition of Tapestry, Paris (1937) Silver Medal for tapestry from Brazilian Govt., Rio de Janeiro (1947); 2nd Prize for tapestry, Internat. Textile Exhibition, Greensboro, USA (1949); Grand Award and lst Prize for tapestry, lst Exhibition of Canadian Weaving, Lond. Art Museum, Ont. (1953); Drakenfeld Prize, XX Ceramics Intl.,

Syracuse Mus. of Fine Arts (1958); lst Prize for tapestry, Canadian Handicraft Exhibition, Mtl. (1961); lst Prize for Batik, Can. Handi. Exhibition, Mtl. (1962); Jurzykowski Fdn. Award NYC for total artistic activity.

Bibliografia:

Mayfair Magazine, November, 1954 „A Single Name A Twin Genius" by William French

Aurora Banner, Ont., May 12, 1955 „Local Artist Is Winner" (selected for 15th Annual Exhibition of Prints at Lib. Congress)

Halifax Mail-Star, N.S., June 21, 1955 „Ontario Art Teachers Developing Portery Ideas" by Fran Bachynski

Carrot River Observer, Sask., April 11, 1958 „Potters, Painters and Weavers" *Ottawa Citizen,* Ont., Nov. 8, 1958 „New Canadian Artist Wins American Award" *Windsor Daily Star,* Dec. 12, 1959 „Ceramics Exhibition" by Ken Saltmarche

Globe Mail, Tor., Ont., Jan. 9, 1960 „Sadowski Exhibition ls Exciting"

Canadian Catholic Institutions, Mar./Apr., 1963, Vol. 5, No. 2, P.47

The Gazette, M[I., Sept. 23, 1963 „Welder's Mask Worn When Artist's At Work" *Globe Mail, Tor.,* Feb. 17, 1966 „Sculpture in black steel"

Foundation Bulletin, Fall, 1966 „Foundation Developments, Calg., „Calgary House . . . Pan And The Three Graces" (welded steel panel by Krystyna Sadowska)

Polish Contribution To Arts And Sciences /n Canada by Andrzej Wolodkowicz, Univ. Mtl., 1969, P.47-49

Canadian Interiors, Tor., April, 1971 „Krystyna Sadowska" by D.P.

Kitchener-Waterloo Record, Ont., Oct. 23, 1971 „Art and Artists — Sadowska's Rooster tops colorful Canadian batiks" by Susan Mackenzie

Ibid, May 2, 1973 „Tour Stopper" (Sadowska's huge red steel sculpture at U. Waterloo) *Toronto Star,* clipping undated, „Versatile artist wins wide acclaim" by Helen Worthington *Globe Mail,* Tor., Dec. 21, 1976 „A Shiny Mermaid" (photo of Sadowska with stainless steel „Mermaid")

Windsor Star, Ont., Jan. 15, 1977 „Freedom is more than just a word to this artist" by Marty Gervais *The Index Of Ontario*

Artists, Ed. Hennie Wolff, VAO/OAAG, Tor., 1978, P.238-9 *The Ontario Collection* by Fern Bayer, Ont. Herit. Fdn., Tor., 1984. P.355

NGC Info. Forms 1953, 1967

Na podstawie: A dictionary of Canadian Artists, by Colin S. Macdonald, volume 7, Canadian Paperbacks Publishing Limited, Ottawa, 1990 oraz wspomnień ś.p. Stefana Siwińskiego, męża artystki. Wycieczkę po Toronto śladami Krystyny Sadowskiej zorganizował ś.p. Bogdan Łabęcki.

Rozmowa ze Stefanem Siwińskim o jego żonie, Krystynie Sadowskiej ukaże się w środę, 1 marca 2017 r.

Galeria prac Krystyny Sadowskiej



Gobelin „Muzykanci”, za który Krystyna Sadowska otrzymała złoty medal na wystawie w Paryżu pod koniec lat 30-tych XX w.



Krystyna Sadowska na tle swojego gobelinu „Muzykanci”, 1960 r., fot. arch. Stefana Siwińskiego



Krystyna Sadowska na tle swojej rzeźby z metalu „Syrena”, fot. arch. Stefana Siwińskiego.







Krystyna Sadowska, stojąca metalowa rzeźba, fot. J. Sokołowska-Gwizdka.

Sergiusz Piasecki wedle Camila José Celi



Camilo José Cela, hiszpański prozaik, laureat nagrody Nobla.

Florian Śmieja

Kiedy w roku 1989 roku nagrodę Nobla otrzymał prozaik hiszpański Camilo José Cela, literatura hiszpańska chlubiła się już czterema laureatami tej prestiżowej nagrody. Zdobyli ją dramaturdzy José de Echegaray (1832-1916) w 1904 roku i Jacinto Benavente (1866-1954) w 1922, poeci Juan Ramón Jiménez (1881-1958) w 1956 i Vicente Aleixandre (1898-1984) w 1977.

Cela, urodzony w roku 1916 w północno-zachodniej prowincji Galicia, był jednym z dziewięciorga rodzeństwa. Ponieważ matka pochodziła z Anglii, w Londynie spędził pierwsze cztery lata życia. Jako dziecko pobierał nauki u jezuitów. Na uniwersytecie zmieniał fakultety medycyny, prawa i humanistyki, nie kończąc żadnego. Poznał natomiast wybitnych poetów (m.in. Pedra Salinasa), którzy wywarli nań znaczny wpływ i zachęcili do pisania. Kiedy w 1936 r. wybuchła wojna domowa, Cela zaciągnął się do szeregów wojsk gen. F. Franco.

Po wojnie zanim potrafił wyżyć z pióra, zarabiał na życie próbując kolejno szczęścia jako toreador, aktor filmowy i urzędnik państwowy. Pociągały go podróże, zwłaszcza piesze wędrówki przez biedne regiony Hiszpanii. Wybrał się też w dwie długie podróże do Ameryki Południowej.

Debiutował jako poeta w 1935 roku, potem publikował opowiadania, a w 1942 wydał powieść „Rodzina Pascuala

Duarte”, która przyniosła mu ogromny rozgłos i przełożona została na wszystkie ważniejsze języki. Jest to opowieść brutalna i okrutna o straconym przez uduszenie mordercy, człowieku, który nie umiał opanować swoich nieludzkich aktów, wymierzającym własnymi rękami sprawiedliwość w proteście przeciwko ślepym prawom. Czuł się zmuszony używać normy nienormalności w swoim życiu.

W powieści „Ul” znakomity obserwator pokazał przekrój życia stolicy Hiszpanii. Uchodzi ona za najambitniejszą powieść Celi, którego dictum „Życie nie jest dobre. Człowiek też nie jest dobry”, doskonale do niej pasuje. Ta eksperymentalna powieść, której bohaterem jest Madryt z 1943 roku ukazany w 160 różnorodnych postaciach, nacechowana jest smutkiem, tragedią i gwałtem owych czasów, poczuciem klęski i rozczarowania.

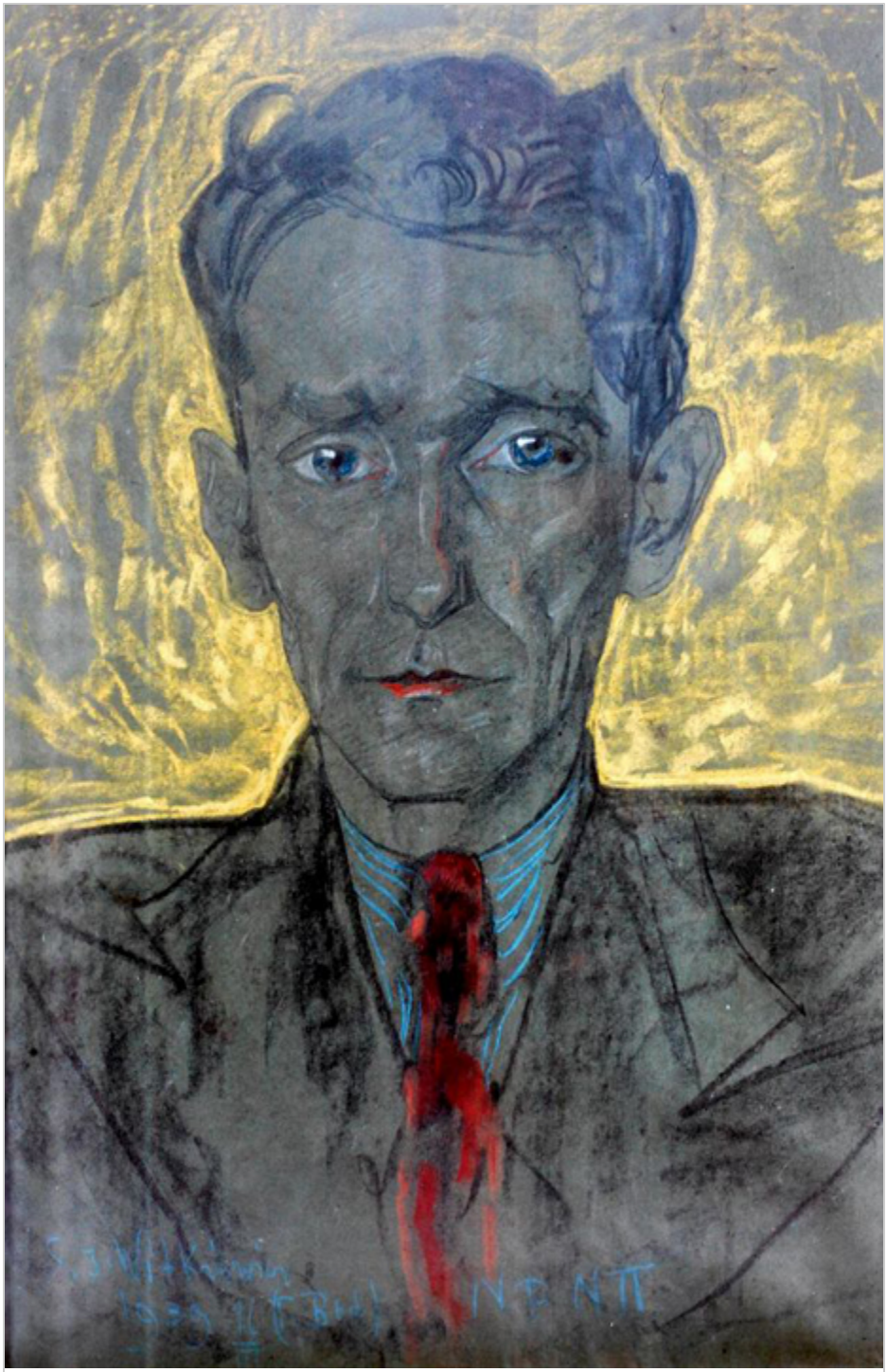


Camilo José Cela

Kiedy nawiązałem z Celą kontakt listowny, obie książki były już w rękach tłumaczy polskich. Pisarz sugerował, bym się podjął przekładu jakiejś innej jego książki. Nie skorzystałem. Najwyraźniej nie miałem nosa do interesu. Zresztą pisałem do niego w sprawie Sergiusza Piaseckiego.

W 1944 r., kiedy po przekładach na angielski (1938), francuski (1940) i włoski (1942) ukazała się hiszpańska wersja „Kochanka Wielkiej Niedźwiedzicy", Cela w czasopiśmie „Arriba" zamieścił artykuł „Niezwykły człowiek – Sergiusz Piasecki". Szczegóły życiorysu zaczerpnął z przedmowy Melchiora Wańkowicza. Hiszpana zachwyciły takie cechy Piaseckiego, jak brawura,

duma, samotność, życie aktywne, sentymentalność. Ujęła go postać człowieka, który po „górnym” życiu wojennym nie potrafił sobie znaleźć miejsca w cywilu. Piasecki zaznaczający w swoim podaniu o ułaskawienie, że nie był człowiekiem złym, ale pechowym, przypominał bohatera powieści Celi „Rodzina Pascuala Duarte”, to też artykuł nosi znamienną dedykację „Ku pamięci Pascuala Duarte”. Jego autor przyznał, że go historia Piaseckiego wzruszyła. Dlatego ten „niezwyczajny człowiek” w artykule Hiszpana wyszedł na wolność dopiero z chwilą wybuchu wojny światowej w roku 1939 – „wyszedł przez bramę wiodącą na śmierć”.



Sergiusz Piasecki sportretowany przez Witkacego, fot. obraz ze Zbiorów Muzeum Literatury.

Józef Łobodowski, który w tym czasie pojawił się w Hiszpanii, dostarczył autorowi szczegółów owego napadu rabunkowego, za który Piasecki stanął przed sądem i został skazany. Powstał więc drugi artykuł Celi, w którym podzielił on się z czytelnikiem nowymi wiadomościami, chociaż nie wszystkie były prawdziwe. W trzecim wreszcie artykule „Skończmy już z Piaseckim", Cela dał się ponownie ponieść swojej fantazji. Usprawiedliwiając nieścisłości pierwszego artykułu pokazuje Piaseckiego, który przeżywszy wojnę niemiecko-polską, niczym stary wilk nocami w śniegach przeprowadzał ludzi na Litwę, unikając straży obu armii sprzymierzonych na zgubę Polski: niemieckiej i sowieckiej.



Sergiusz Piasecki. As polskiego wywiadu i znakomity pisarz.



Segiusz Piasecki

Jak z tytułu wynikało, miał to być artykuł ostatni dopowiadający rzeczy do końca. Osłaniając się słowem „pogłoska”, Cela kazał jeszcze Piaseckiemu walczyć w Powstaniu Warszawskim i zginąć w walce. Sam pisarz tak wersję swoją tłumaczył:

> Był to może najlepszy koniec dla człowieka, który pewnej nocy, patrząc przez zakratowane okno celi zakochał się jako młodzik w Wielkiej Niedźwiedzicy, w zimnej hieratycznej Wielkiej Niedźwiedzicy.

Kiedy doniosłem Celi, że Piasecki nie tylko wojnę przeżył, ale nawet mieszkał w Anglii niedaleko ode mnie, Hiszpan odezwał się natychmiast. W liście z 21 stycznia 1960 r. prosił o szczegóły dotyczące życiorysu Piaseckiego począwszy od roku 1939, obiecując napisać nowy artykuł, aby – jego słowami – z satysfakcją postawić rzeczy na właściwym miejscu. Chciał też w wydawanym przez siebie na Majorce czasopiśmie „Papeles de

Son Armadans” wydrukować jakieś opowiadanie Piaseckiego.

Zwróciłem się do mieszkającego w St. Leonards-on-Sea pisarza i wnet otrzymałem dużą kopertę różnych jego tekstów i listów z adnotacją, że opowiadań krótkich nie posiada, ale że mogę wybrać dowolny fragment jednej z powieści. Napisałem o tym do Celi, załączając uzupełniony życiorys Piaseckiego. Odpowiedzi już się nie doczekałem, sekretarka powiadomiła mnie, że pisarz wyjechał w zagraniczną podróż i że odezwie się po powrocie. I na tym kontakt się urwał.

Kiedy w 1976 roku wyszedł IX tom dzieł zebranych Celi, owe trzy artykuły poświęcone Piaseckiemu ukazały się po raz pierwszy razem i , okazało się, bez żadnych ingerencji czy przypisów autora, który wolał najwidoczniej zachować dokumenty swojej wyobraźni artystycznej, gdyż nie harmonizowała mu cicha śmierć w małym angielskim miasteczku z człowiekiem niespokojnym, którego przyrównał do Pascuala i który go wzruszył. Swoim autorytetem wielkiego twórcy sam wymierzył sprawiedliwość poetycką samotnemu wędrowcowi spoczywającemu na obczyźnie pod prostym kamieniem oznaczonym konstelacją Wielkiej Niedźwiedzicy.

Karuzela z sympatiami



Londyn, Wielka Brytania.

Krystyna Cywińska

Różne rzeczy się pisze i mówi o nowych przybyszach z kraju. Ale jakoś nikt nie pisze o tym, że zdołali dokonać tego, co nam się przez lata nie udawało. Nam, czyli starej polskiej emigracji. Choć się bardzo o to starała. Pozyskać tutaj takiego jak ci nowo przybyli uznania jednak nie pozyskała. I docenienia ich wkładu w tutejsze życie codzienne. Nas tu po wojnie ledwo zauważano. Bywało, że lekceważono. Niedoceniano. Przedrzeźniano nasz akcent: *zenk ju wery mucz*.

Wyśmiewano nasze maniery. Te rączki całuję. I tę całą naszą galanterię. Wykpiwano nasz hurrapatriotyzm i obsesję narodowego męczeństwa. Nie byliśmy tu zbyt popularni. Ci śmieszni Polacy w demobilach, w żółtych butach, z teczkami na zakupy.

A przecież zaraz po wojnie stanęliśmy do odbudowy tego kraju. Z żołnierzy walczących o wolność staliśmy się armią robotniczą. Białymi murzynami do wszystkiego. I kością niezgody w związkach zawodowych. Tych zaklętych rewirach zamkniętych dla obcych, najczęściej dobrze wykwalifikowanych sił. Jak się do związku nie należało, nie można było dostać lepszej pracy. A żeby się do związku dostać, trzeba było dostać tę lepszą pracę. Tak było przez wiele lat królowania związków zawodowych pod berłem królowej.

Powstały więc polskie robotnicze brygady. Srebrna brygada –

począwszy od generała w dół – pucowała srebra w hotelach. Przypomnę, że gen. Stanisław Maczek, osławiony dowódca I Dywizji Pancernej, uwielbiany przez swoich żołnierzy, był barmanem. Gen. Klemens Rudnicki, Generalny Inspektor Sił Zbrojnych, kurierem wycieczek po Europie. Gen. Stanisław Sosabowski, twórca 1 Samodzielnej Brygady Spadochronowej – magazynierem. Niegdysiejsi ministrowie i posłowie do Sejmu II RP pracowali w fabryce biskwitów. Oficerowie z cenzusem stali na straży w muzeach. Byli dozorcami w magazynach i biurach. Kelnerami w restauracjach. Ci niżsi rangą wyrąbywali węgiel w kopalniach i orali twardą glebę. Inni zabrali się za rzemiosło. Hydraulików, szwaczek, pokojówek i kucharek było bez liku. A podziemia kolejki londyńskiej pełne były zamiataczy z dyplomem. Ale jakoś tego nie zauważano, ani nie doceniano, ani z uznaniem nie pisano. Nie mieliśmy dobrej prasy. Raczej negatywną, bo byliśmy politycznie niewygodni. Polska się nie liczyła. Polacy też. A emigracyjni politycy byli tu solą w oku. Z czasem, uporczywie kując, wyrąbaliśmy sobie chodniki akceptacji. Ale było nas już wtedy niewielu. Takie uznanie dla odchodzącego gatunku.

Przyszedł rok 2004. Fala masowej emigracji i Polacy znów stali się białymi murzynami. Z tą różnicą, że od razu oficjalnie docenianymi, chwalonymi, pożądanymi. Opisywanymi w prasie i pokazywanymi w telewizji. *They blend with the landscape.* Mieszkańcy wioski pod Yorkiem znów mają na śniadanie świeże bułeczki wypieczone przez polskiego piekarza i sprzedawane

przez polską *pretty girl*, która nawet z angielskim sobie radzi – jak pokazywano w telewizji. Polska *cleaning lady* o rumianych policzkach – jak pisał „Daily Telegraph" – wpisała się w cywilizację brytyjskich domów. Bo dobrze je sprząta i czyści. Polski osławiony *plumber* ratuje te domy od zalewu. Polski *builder* ratuje je przed ruiną. To byłby dopiero lament i dramat, gdyby ci polscy biali murzyni wrócili do kraju! Żeby się tam przefarbować na adwokatów, architektów, bankowców i wykładowców. No, co by to było!?

Nikt kilka lat temu w takie hipotetyczne gdybania się nie zabawiał. Aż przyszedł niejaki Brexit i zdarł kurtynę hipokryzji. Bo owszem, niech dokręcają te krany, wymiatają kurze i stoją rzędem na taśmie produkcyjnej. Ale przecież zabierają nam miejsca w szpitalach, wydłużają kolejki do GP i biorą zasiłki na dzieci, które zostawili babciom w Polsce. Nas po wojnie odsyłano do kraju. Tę zadrę za polityczną skórą. Nowych przybyszy się kokietowało w politycznie poprawnych czasach. Czy teraz zatrzasną się przed nimi Brexitowe wrota? Aż krany znów zaczną cieknąć, domy popadać w ruinę, a mieszkańcy wioski pod Yorkshire zaczną znów jeść odmrażany chleb?

Taką ot snuję ponurą wizję, w którą wolę nie wierzyć. Nie chciałabym się raz jeszcze zawieść w miłości w moim wieku. Tym razem do kraju, który mnie tu jednak przygarnął.

„Nowy Czas”, Londyn, nr 1/226, 2017.

Prowokowanie wyobraźni. Leszek Wyczółkowski.



Leszek Wyczółkowski w pracowni, fot. Lynn Wyczółkowski.

Joanna Sokołowska-Gwizdka: Pod koniec 2015 roku wyszedł album „Beyond Geometry. The Art of Leszek Wyczolkowski" wieńczący wiele lat Twojej pracy artystycznej. Pierwsza cześć pokazuje twórczość graficzną i malarską, a druga – to imponująca historia wystaw w Polsce i za granicą.

Leszek Wyczółkowski: Po latach pracy artystycznej na polu graficznym i malarskim, wielu prestiżowych wystawach w salach muzealnych i galeriach publicznych, przyszedł czas na swego rodzaju podsumowanie i reminiscencję. Jedną z form wyrażającą te osiągnięcia jest publikacja albumu.

Był to dla mnie bardzo pasjonujący temat, od koncepcji i projektu, aż do przygotowania do druku (zaowocowały doświadczenia wyniesione z kartografii). Nad projektem tym spędziłem prawie trzy lata. Zmieniała się zarówno forma projektu graficznego i merytorycznego, jak i wielkość publikacji.

W ostatecznej wersji przedstawiłem trzy główne tematy – malarstwo, grafikę i ekspozycje. Wszystkie działy są poprzedzone szeregiem małych zdjęć charakteryzujących dany rozdział i stanowiących jakby symboliczną zapowiedź następnych stronic. Autorką zdjęć jest moja żona Lynn, która od wielu lat dokumentuje moją działalność artystyczną. Żona brała też udział w projektowaniu i redagowaniu tego albumu. Pomocą służyła również moja córka Nadine, która napisała wstęp i zrobiła korektę.

Kompozycja albumu dostarczyła mi wiele wyzwań i dała dużo satysfakcji. Starałem się, aby zachować płynność oglądania, element niespodzianki i poczucie niedosytu. Chciałem, żeby album nie był nudny.

Cieszę się z tego albumu, bo podsumował wiele lat mojej twórczości. Dał możliwość spojrzenia z dystansu na moją własną sztukę. I choć nie mogę na niego patrzeć bez emocji, to jednak stał się on punktem wyjścia do następnych poszukiwań i odkryć.

JSG: Jesteś grafikiem i malarzem, czy te dziedziny się dopełniają?

LW: Absolutnie tak. Podczas czasu spędzonego nad płótnem rodzą się często nowe pomysły graficzne. A gdy pracuję nad grafikami, doznaję inspiracji – bodźca do pracy malarskiej. Tak więc z nowymi siłami i pomysłami przenoszę się na inne, acz podobne środki wyrazu. One się uzupełniają i dają szansę pełniejszej wypowiedzi.

JSG: Twoje grafiki to świat harmonii, koloru i symetrii. Dominuje porządek, estetyka i piękno formy. Co cię fascynuje w geometrii przetworzonej przez Twoją wyobraźnię?

LW: Szczególnie w grafikach warsztat jest podstawą i podporą wyobraźni. Prawdopodobnie moje poprzednie związki z kartografią i geodezją, które oparte są na matematyce, geometrii i precyzji, mają wpływ na moje inklinacje ku geometrii. Szukam w niej balansu, porównań i harmonii. Zestawiam skrajnie odmienne formy i struktury, a wszystko pod kątem odmiennych perspektyw/skal. Jest to gra emocji i intelektu, która mnie bawi i dostarcza wiele radości.

JSG: Przerwałeś studia na Wydziale Grafiki w Akademii Sztuk Pięknych w Warszawie i zdecydowałeś się na wyjazd z kraju. Czy dlatego, że utrudniano ci studia ze względu na nazwisko?

LW: Ironią losu można określić moje przerwane w połowie studia na Akademii Sztuk Pięknych w Warszawie i przyjazd do Kanady. Przecież na upragnioną ASP dostałem się dopiero za czwartym razem i to bez dodatkowych „punktów za pochodzenie". A nazwisko, które mogło gwarantować sukces, nie tylko ekonomiczny, po studiach stało się przeszkodą wręcz nie do pokonania.

JSG: Opowiedz, jak rozwijała się Twoja kariera jako artysty w Kanadzie.

LW: Kanada zrobiła na mnie duże wrażenie, pod względem przyrody. Wielkie, czyste przestrzenie, piękne lasy, jeziora, góry i wybrzeża. Reszta niestety do tej pory jest dla mnie, jako artysty, rozczarowaniem. Niemniej starałem się i nadal to czynię stawiać czoła niesprzyjającym warunkom.

Po przyjeździe kontynuowałem studia na Ontario College of Art. Miałem szczęście poznać wielu pomocnych i życzliwych ludzi. To dodawało mi otuchy, energii i zapału do rozwijania mojej twórczości. Dużo wystawiałem i wystawiam. Dużo również podróżowałem. Wielokrotnie przejechałem Kanadę i Stany Zjednoczone Ameryki.

Przez wiele lat byłem reprezentowany w Nowym Jorku i San Francisco przez bardzo prestiżową galerię. Miało to również

pozytywny wpływ na moją sytuację na rynku kanadyjskim. Jednak krach finansowy 2008 roku niekorzystnie odbił się na rynku sztuki.

JSG: Po transformacji w Polsce w latach 90-tych miałeś pierwszą od wyjazdu z kraju wystawę i to w Muzeum Narodowym w Krakowie. Jak byłeś wtedy odebrany przez środowisko artystyczne?

LW: Wystawę tę wspominam bardzo mile. Muzeum Narodowe w Krakowie jest jednym z najbardziej prestiżowych Muzeów, cieszących się najwyższą reputacją. Byłem pierwszym z żyjących grafików, którego spotkał zaszczyt autorskiej wystawy.

Wystawa była licznie odwiedzana przez środowisko artystyczne. Na wernisaż przyjechało wielu przyjaciół i znajomych. Z Warszawy przyjechał mój były profesor historii sztuki z ASP, Maciej Gutowski. Podczas otwarcia wystawy udzielił on wspaniałego wywiadu do krakowskiej TVP na temat mojej twórczości graficznej. Przez lata utrzymywałem z nim miły kontakt. Każda moja podróż do Polski nie mogła obyć się bez spotkania, pokazu nowych prac, wymiany opinii i spostrzeżeń. Profesor Gutowski imponował mi wiedzą, intelektem i erudycją. Szkoda, że odszedł tak wcześnie.

JSG: Od tej pory masz regularny kontakt z Polską i wystawy w

prestiżowych miejscach.

LW: Lubię wystawiać w Polsce. Jest to nie tylko pretekst do odwiedzin Ojczyzny, ale też okazja do prezentacji moich najnowszych prac. Poza tym jest dla kogo wystawiać. Sztuka w Polsce jest na wysokim poziomie i szczególnie starsza grupa społeczeństwa docenia jej wartości. Przez ostatnie lata miałem przyjemność i zaszczyt prezentować moje prace graficzne w wielu polskich muzeach i prestiżowych galeriach.

JSG: Twoje prace były pokazywane w Austrii, Belgii, Francji, Grecji, Holandii, Japonii, Kanadzie, Malezji, Stanach Zjednoczonych, Szwecji, Wielkiej Brytanii czy we Włoszech. Są w wielu znanych galeriach, muzeach i zbiorach prywatnych. Czy myślisz, że wyjazd z Polski dał ci rozmach, świeży oddech, spojrzenie na polską historię kultury z perspektywy?

LW: Emigracja wyzwoliła ukrytą energię, zmusiła mnie do działań, których prawdopodobnie nigdy bym nie podjął. Emigracja stymuluje, umożliwia porównania i obserwacje z dystansu.

JSG: Jaki wpływ na Twoją twórczość ma polskie dziedzictwo artystyczne?

LW: Staram się nie „zapożyczać” od innych. Niemniej jednak

wyrastałem na najlepszych wzorcach. Przecież dokonania artystów Młodej Polski to eksplozja wielkich talentów. Artystyczne wychowanie tkwi później w podświadomości. Czasy się zmieniły, formy przekazu również. Ale osiągnięcia i doświadczenia innych dają solidną bazę, fundament. Polska sztuka miała wiele silnych indywidualności, które stymulują i prowokują do podejmowania ryzyka w poszukiwaniu i odkrywaniu własnej drogi.

JSG: Razem z mieszkającym w Polsce bratem Zbigniewem, pasjonujecie się historią słynnego przodka, Leona Wyczółkowskiego. Szukacie śladów po nim, jeździcie na wystawy i do miejsc, gdzie malowane były słynne obrazy, jak np. do majątku, w którym odbywała się „Gra w krokieta". Czy odkryliście jakieś nieznane historykom sztuki fakty, lub ciekawostki?

LW: Często przez przypadek natrafiamy na miejsca związane z Leonem Wyczółkowskim. Kilka lat temu po mojej wystawie w Lublinie pojechaliśmy do dworku na drodze do Warszawy, gdzie Leon Wyczółkowski robił szkice i malował „Grę w krokieta". Innym razem dostaliśmy zaproszenie na uroczystość odsłonięcia tablicy pamiątkowej w Poznaniu, gdzie malarz przez jakiś czas mieszkał. W tym roku uczestniczyliśmy w otwarciu wystawy prac Leona Wyczółkowskiego w Muzeum w Kwidzyniu, zorganizowanej przez Muzeum Okręgowe im. Leona

Wyczółkowskiego w Bydgoszczy. Mój brat Zbigniew odwiedzał lasy i rezerwaty cisów w okolicach Bydgoszczy, gdzie Leon Wyczółkowski pod koniec życia portretował tamtejsze drzewa i przyrodę, tak znane z jego rysunków i litografii. Duma rozpiera serce i jest miło zwiedzać i smakować organizowane wystawy w polskich muzeach, gdzie często prace malarza grają wiodącą rolę.

JSG: Kim jest dla Ciebie Leon Wyczółkowski?

LW: Zawsze był dla mnie wzorem artysty. Osiągnął mistrzostwo w każdym okresie jego twórczości i w każdej technice. Wielka wyobraźnia, energia artystyczna, ciekawość odkrywcy, optymizm, a wszystko wsparte wspaniałym warsztatem. Oglądanie jego prac w wielu wypadkach powoduje niezwykłe uczucie lewitacji, dostaje się przysłowiowej „gęsiej skóry". Jest on dla mnie postacią wręcz mistyczną.

JSG: Twój ojciec Witold, też był artystą. Opowiedz o swoim domu rodzinnym.

LW: Od dzieciństwa podziwiałem mojego ojca za wszystko, zwłaszcza za jego talenty artystyczne. Szczególnie za mistrzostwo w portretowaniu. Już jako kilkuletni chłopiec asystowałem mu podczas seansów i notowałem w pamięci jego uwagi i wskazówki, którymi szczodrze obdarowywał mnie przez

całe życie. Asystowałem też ojcu w plenerach. Pierwsze moje prace to były kopie ojca płócien. Dopiero później, jak poczułem się pewniej, samodzielnie malowałem obserwowany i przeżywany krajobraz.

Oprócz rysunku i malarstwa ojciec uczył mnie liternictwa. Szczególnie kaligrafii. W okresie wakacji zapisywałem całe zeszyty. Za dobre rezultaty byłem nagradzany nie zabawkami, czy słodyczami, ale pędzelkami i to nie byle jakimi, ale firmy Winsor & Newton. W latach 50-tych i 60-tych były to rarytasy. Do dzisiaj mam ich kilka. Te nabyte umiejętności pomagały mi w doskonaleniu warsztatu.

Od ojca dostałem album o twórczości Leonarda Da Vinci, wydanie niemieckie z 1939 roku, z reprodukcjami jego wszystkich, znanych w tym czasie prac. Był to mój elementarz. Od dziecka uczyłem się sztuk pięknych na wzorach z tego albumu. Przez całe życie miałem w ojcu doradcę i podporę w moich artystycznych poczynaniach.

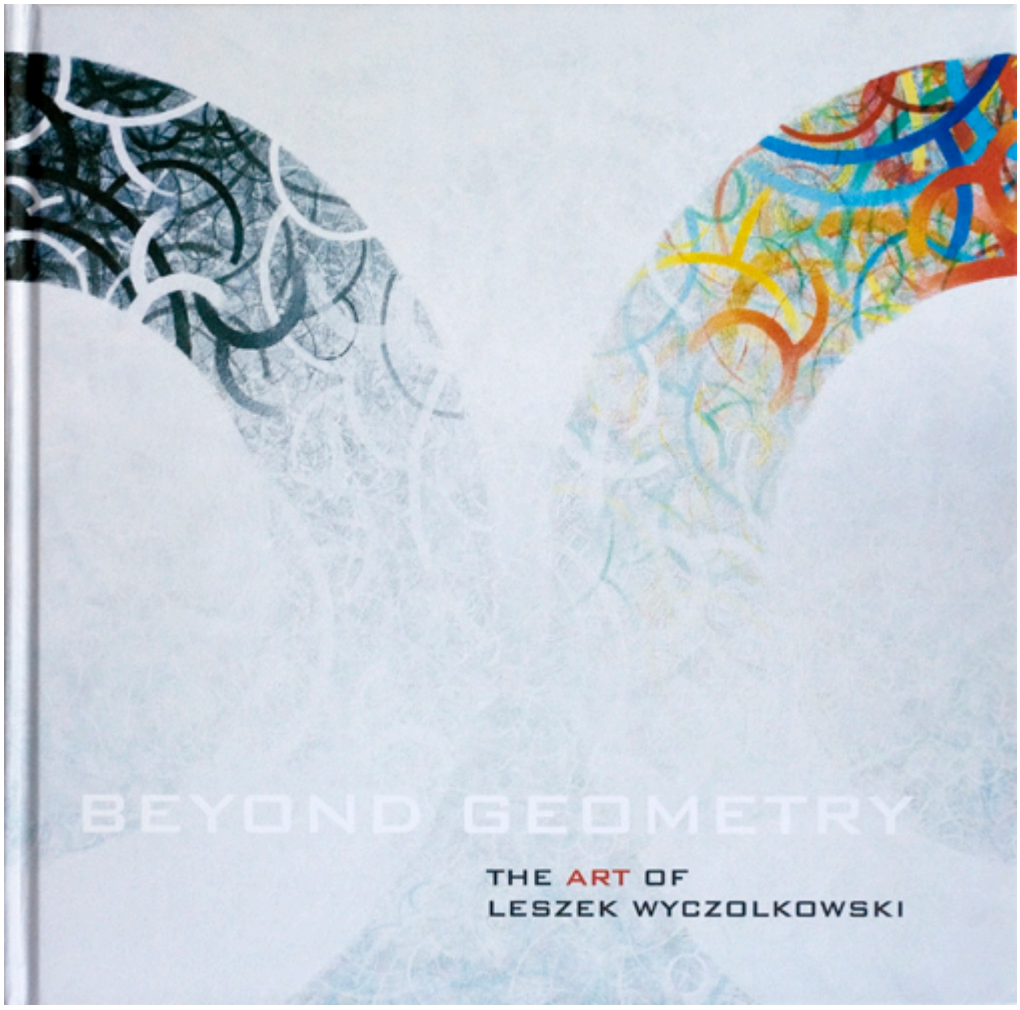
Moja mama Janina, która była nauczycielką i projektantką mody, też miała wpływ na artystyczną atmosferę w domu. Była bardzo wymagającym pierwszym „krytykiem" ojca prac. A że była osobą bardzo praktyczną, często słyszałem jak mówiła do ojca: „nie maluj w tych kolorach. To się nie sprzeda", lub: „nie powtarzaj tej kompozycji, już to widziałam". Co do mnie, to uczyła mnie w

dzieciństwie języka francuskiego (niewiele już pamiętam). Śledziła i nadzorowała moje szkolne poczynania. Za jej namową skończyłem Technikum Geodezyjne. Stwierdziła, że wystarczy w rodzinie artystów i przed artystycznymi studiami muszę zdobyć „konkretny zawód". To w przyszłości miało wpływ na moją artystyczna drogę.

Rodzice tworzyli ciepłą i rodzinną atmosferę. Byli naszymi wzorcami. Z bratem mieliśmy wspaniałe dzieciństwo w kochającym się otoczeniu. Zostały wspaniałe wspomnienia, które nawołują nas, aby postępować w życiu SZLACHETNIE.

JSG: Czy czujesz się spełnionym artystą?

LW: Myślę, że artystą spełnionym zostanę, gdy już nie będę w stanie wypowiedzieć czegoś istotnego i nowego w mojej sztuce. Kiedy wyczerpie się twórcza wyobraźnia. Ale teraz cieszy mnie, że mogę nadal prowokować wyobraźnię odbiorcy i zaskakiwać samego siebie. A to dla mnie bardzo ważne.



U mieszkańców raju



Mołdawia

Barbara Gruszka-Zych

Przed odwiedzeniem Mołdawii straszą ci, którzy tu nie byli. Ale w tym kraju nie słychać o napaściach na turystów, ani kradzieżach ich aut. Za to ludzie są życzliwi, a krajobrazy nieziemskie.

Według legendy, kiedy Bóg stwarzał świat i rozdawał narodom ziemie zapomniał o Mołdawianach. W ramach zadośćuczynienia, zaproponował im zamieszkanie w raju. I dziś te ziemie urzekają. Rozlewające się po horyzont pofałdowane pola i pastwiska. Onieśmielające pęknięcia ziemi – rozległe kaniony i wąwozy z siecią strumyków na dnie (to do nich zbiega się bydło i konie z

równin, jak gdzieś na amerykańskiej prerii). Winorośle, nawet nocą dojrzewające od nagrzanych w dzień kamieni wzgórz. Szeroki, meandrujący, miejscami dziki Dniestr, na którym kiedyś przebiegała granica między Rzymem a Bizancjum. Wszystko to skarb miejscowych, ale i odważnych turystów.

Psy na granicy

Kiedy dziś przekracza się granicę ukraińsko-mołdawską, to jakby wjeżdżało się do wielkiej wioski, a nie do raju. Na przejściu za ukraińskimi Czerniowcami nasz autobus rejsowy ze Lwowa do mołdawskich Bielc zatrzymuje się do kontroli granicznej. Celnicy każą siedzącym za nami Gagauzom pokazywać zawartość ich napchanych kraciastych toreb (to wszędzie rozpoznawalny, międzynarodowy „środek transportu" różnych towarów). Ze wszystkich stron dochodzi nocne ujadanie psów, które denerwują się na obcych. Do nas też przybiegło ich kilka, ale nikt z celników na to nie reaguje. Jakiś wyróżniony przez nich psiak ma tu nawet swoją budę. A toaleta zamknięta, bo północ. No to wszyscy udają się na spacer za nią. Na wschód od polskiej granicy zaczynają się wysypiska śmieci nawet w centrach miast, bo po prostu brak tu nawyków higienicznych. I to najczęściej odstrasza turystów. Papieru toaletowego nie wrzuca się do muszli, ale obok niej, żeby nie zatkać rur. Nie można pić niegotowanej wody, nie wszędzie

da się kąpać, bo w niektórych zbiornikach czai się cholera – straszą w internecie. Miejscowych to nie dotyczy, są uodpornieni, ale wydelikaconych przybyszów z Zachodu – tak. Ten brak kultury wiąże się poniekąd z panowaniem sowieckim. Wtedy wszystko było nie swoje, ale wspólne, czyli – cudze. Nikomu też nie zależało na podniesieniu kultury życia. Teren Mołdawii, w większości dawnej Besarabii, historycznie był związany z Rumunią, ale przez cały XIX wiek należał do Rosji. Po konferencji jałtańskiej został wcielony do ZSRR. Mołdawianie uniezależnili się dopiero w 1991. Ale nikt nie znalazł dobrego pomysłu na krajową gospodarkę i turystykę. Reżim sowiecki systematycznie zabijał potrzeby wyższe tutejszych mieszkańców. – *Moja babcia Polka, od strony mamy Tosi, była dwa razy zsyłana na Sybir* – opowiada Dmitrii Curkan z Bielc, nasz przewodnik po mołdawskich trasach. – *Ale jak umarł Stalin, to się popłakała. Zakazano nam wierzyć w Boga i ludzie to kupili, bo bali się prześladowań. Cerkiew prawosławna akceptowana przez rząd przetrwała. Ale wielu kojarzyła się z reżimem. – Kościół katolicki rozwija się tu dopiero od 12, 13 lat* – mówi duszpasterz kiszyniowskich katolików, Polak, ks. Stanisław Kucharek, pochodzący z rumuńskiej Bukowiny. Ta szczelina w życiu duchowym do dziś daje o sobie znać.

Kłopoty Eleny

Może kiedyś uroda tych ziem wystarczyła, żeby nazywać

Mołdowę rajem. Dziś sytuacja tutejszych mieszkańców nie przypomina życia w raju. Według danych statystycznych Mołdawię zamieszkuje 4 445 tys. mieszkańców. Ale niektórzy mówią, że już połowa przeniosła się poza granice. Wyjechali do pracy w Portugalii, Hiszpanii. – *Średnia emerytura wynosi tu 40 dolarów, pensja – 100 dolarów* – wylicza Helena Usova z Bielc, pracująca w trzech miejscach, żeby godnie żyć. Jest też szefową „Jutrzenki", pisma tutejszej Polonii. Jej zsumowana płaca wynosi średnio od 250 do 300 dolarów miesięcznie. A ceny w sklepach nawet wyższe niż u nas. Tylko przejazd trolejbusem kosztuje w przeliczaniu na złotówki 30 gr. – *To normalne, w Polsce też emigrują za pracą na Zachód* – tłumaczy Elena Palinciuc, absolwentka krakowskiej polonistyki, studentka PAT-u, starająca się udowodnić swoje polskie pochodzenie. Wtedy łatwiej będzie jej wyjechać. Teraz musi załatwiać wizę. I – jako Mołdawianka – przechodzić przez te wszystkie „graniczne" upokorzenia. Do nich należy wypytywanie, ile butelek wódki wiezie (jest tania, dobra na prezent albo zarobek). A ona alkoholi nie wozi i dlatego się denerwuje. Zdarza się, że ludzie pocztą pantoflową ogłaszają, że mają do sprzedaży swoje nerki. W taki sposób chcą zarobić na kształcenie dzieci. Żeby przynajmniej im żyło się lepiej.

Mołdawia

Studnia zamiast mineralnej

– *Bielce nie są miastem turystycznym, tylko bloki i bloki* – śmieje się Helena Usowa. – *Odwiedzający fotografują nasze dziury na drogach i rury, które prowadzone są na zewnątrz budynków* – wyprzedza nasze zainteresowanie. – *Nasz teatr budowano 10 lat. A teraz ma przerwę nie tylko w sezonie letnim, ale i zimowym, bo nie starcza na ogrzewanie.* Bieda wychodzi spomiędzy ekskluzywnych supermarketów i ulic z dobrymi sklepami. Wody w kranach brakuje nieraz i cały tydzień, dlatego przy Domu Polskim wykopano studnię głębinową o wdzięcznej nazwie „Beatka". Teraz Helena nie musi kupować mineralnej. Stada psów na dworcu i na postsowieckich blokowiskach. Nie sprzątane śmieci na ulicach, brak koszy. Mizerna baza noclegowa. Za pokój w hotelu w Bielcach trzeba by zapłacić 50 dolarów. Na szczęście znajomi załatwiają nam tanie mieszkanie w bloku. Właśnie z Bielc wyjeżdżamy w trasę z 26-letnim Dmitrijem, już uznanym komputerowcem, też zarabiającym na życie w trzech firmach. Dima skończył psychologię i może dlatego ma do wszystkiego dystans. Kiedy na dziurawych drogach Gagauzji siadają nam dwa koła, on spokojnie zmienia jedno, a drugie dopompowuje na kolejnych stacjach i bez narzekań dojeżdża do Kiszyniowa. W zeszłym roku z koleżanką zjeździł Mołdawię, żeby wydać kartki promujące kraj. Daje nam dwie „swoje" pocztówki. Mamy tylko kilka dni, więc wybieramy parę prezentowanych na nich miejsc. Dima włącza tutejsze radio

„Dorok” (co po rumuńsku znaczy „dobrej drogi”). W Mołdawii obowiązuje rumuński, ale aż 60% mówi po rosyjsku. Choć ostatnio grupa deputowanych socjal-liberałów wystąpiła z propozycją usuwania rosyjskich napisów i rosyjskiego dubbingu z filmów wyświetlanych w ich kraju. Okazało się jednak, że wszystkie kopie sprowadzane są z Rosji, bo ich zakup w Rumunii byłyby droższy.

Słonecznki ze spuszczonymi głowami

Najpierw trafiamy do Sorok, stolicy tutejszych Romów. Na wzgórzu wznosi się dzielnica domów, czasem prawie pałacyków, czasem budowli przypominających mieszkania patrycjuszy rzymskich. Mieszanka stylów. A na placach bose Romki rozwieszające pranie. – *Lepiej się nie zatrzymywać* – ostrzega Dima. Jeden z majętniejszych Romów na szczycie wzgórza przed miastem jako znak wdzięczności Bogu ufundował monument zwany przez tubylców „świeczką”. W jego wnętrzu mieści się prawosławna kaplica. Stąd rozciąga się też widok na szerokie wody szarego dziś Dniestru. – *Tam kursuje prom* – Dima pokazuje ciemną plamkę na rzece. Po drodze zatrzymujemy się, żeby pofotografować. Ciemne drzewa jakby specjalnie posadzone w szeregu na linii horyzontu. Przecięte rzeką wąwozy pełne spragnionego wody i zieleńszej tu trawy bydła. – *Co ciekawego jest na moim polu?* – wybiega do nas podekscytowany gospodarz, kiedy fotografujemy jego pole. – *Przepiękny widok* –

odpowiadamy zgodnie z prawdą. Podczas podróży męczy nas upał. W samochodzie nie ma klimatyzacji i w domach też, bo mało kogo na to stać. Właśnie upał sprawił, że słoneczniki na mołdawskich polach zamiast obracać się za słońcem spuściły głowy. Stoją sczerniałe w niekończących się szeregach. Susza zniszczyła 80% pól uprawnych. Prezydent Vladimir Voronin, z pochodzenia Rosjanin – jak mówią „komunista z twarzą europejską", zwrócił się o pomoc do społeczności międzynarodowej. Odpowiedziała mu Rosja i Unia Europejska. Przysłali w sierpniu transporty z żywnością. – *Ale i tak gospodarczo Mołdawia nie ma nic innym do zaoferowania* – mówi Helena Usova. – *Jej bogactwo to olej słonecznikowy i chyba najlepsze na świecie wina, na które Rosja w ramach restrykcji nałożyła od roku embargo licząc, że wyniszczy to tutejszy przemysł winny.* Na szczęście jej się to nie udało. Ponad 66% powierzchni kraju zajmują właśnie pola uprawne, na których rośnie słonecznik, buraki cukrowe, tytoń, pszenica i oczywiście kukurydza. To z niej przyrządza się narodową potrawę mamałygę. Tę żółtą „babkę" wyrabianą z mąki kukurydzianej nazywają tu słońcem na talerzu i podają z ostrym sosem czosnkowym z oliwą i tartą bryndzą. A na wystawniejsze przyjęcie także z gulaszem z pociętej na kawałki baraniny na ostro.



Mołdawia

Tajemnice mnicha Jefremija

Przy drogach rzędy niskich orzechów włoskich. A co kilka kilometrów studnie głębinowe, przy których można się odświeżyć. Na stacji benzynowej na trasie do Kiszyniowa dziesięcioletni Sieroża patrzy na nas z zainteresowaniem. Uśmiecha się, kiedy dajemy mu coś słodkiego. – *Jest zadowolony, bo jeszcze nie wie, że można żyć inaczej* – podsumowuje Dima. 40 km przed stolicą skręcamy do Orheiul Vechi, średniowiecznego klasztoru wykutego w skale klifowej. Według

archeologów kiedyś znajdowała się tu osada, pochodząca z VII-IV w. przed Chrystusem. Trzeba zwolnić na wyboistych, polnych drogach. – *Za więzieniem musicie skręcić w prawo* – informuje kierowca motoru z doczepianą przyczepką, popularnym tu środkiem lokomocji. – *Jak byłem na praktyce w więzieniu, widziałem paradoksy tutejszego prawa* – mówi Dima. – *Za kradzież ktoś odsiadywał 5 lat, za zabójstwo – mniej.* Nagle zza winnych wzgórz wyłania się ciągnąca wzdłuż wąwozu czarna skalna ściana z zarysem budowanej cerkwi, starą dzwonnicą i krzyżem przy białej drodze wydeptanej na szczycie. – *Te otwory w skale to okienka cel mnichów* – pokazuje nasz przewodnik. U podnóża skały niebieska nitka rzeki Raut z kropkami dzikich gęsi. Wchodząc na szczyt czujemy jakbyśmy wstępowali w inną rzeczywistość. Surowe, nagie ściany kanionu otaczają wzgórze. Są dużo wyższe i masywniejsze niż sam szczyt, jakby były jego opakowaniem. Z 40-stopniowego upału z ulgą wchodzimy do skalnej groty, gdzie po zejściu kilkoma olbrzymimi schodami trafiamy do wydrążonej w kamieniu cerkwi. Teraz słońce wpada tu z zachodu, od strony skalnej półki na którą wyszedł mnich Jefremij z opadającą na piersi siwiejącą brodą. Otwartego wejścia i dziur zamiast okien nie zakrywa na noc. Wpada tu światło księżyca i pewnie nietoperze, ale nic o nich nie wspomina. W wydrążonym w skale miejscu do spania, tuż obok kaplicy, ma rozłożone kilimy i koce. Mieszka tak sam od czterech i pół roku. W dzień zasiada za stolikiem zastawionym świeczkami, obrazkami świętych, książeczkami do modlitwy,

balsamem do smarowania dobrym na wszystko, jeśli tak to sobie kupujący założy. Pochodzi spod Sorok. Tylko czasem odwiedza go garbaty dzwonnik przysłany tu jakby z jakiejś powieści gotyckiej. Teraz patrzy na nas spod ciemniej grzywki wyrazistymi, czarnymi oczami. I oczywiście latem – turyści. Często dziennie przychodzi tu po 200, 300 osób. (Po drodze minęła nas grupka młodzieży z Niemiec). – *Szukałem prawdy i tu ją znalazłem* – odpowiada Jefremij przymuszany naszymi pytaniami. – „Co to jest prawda?" – pytał Piłat, ale nie usłyszał odpowiedzi. Wyszedł na plac i doszedł go głos tłumu: „Na krzyż z Nim, na krzyż". *Prawda to krzyż. Co dziś jest ważne? I tak słuchać nie będziecie* – patrzy na nas z wyrzutem. – *Środki masowego przekazu zalewają nas złymi informacjami, rozbijają duszę. Ojcowie święci mówili: „Człowiek je, żeby żyć", a dziś ludzie żyją, żeby jeść. I to błąd. Jakie jest z tego wyjście?* – nie wiadomo pyta nas czy samego siebie. – *Oddać życie za Niego. Tam, po drugiej stronie, czekają nagrody, o których się nie śniło nikomu* – uśmiecha się.

Siemion kocha swój Komrat

Na południu Mołdawii leży autonomiczny region Gagauzji. Zamieszkują go Gagauzi – nazywający się „narodem pochodzenia tureckiego". Według badaczy mogą to być sturczeni Bułgarzy lub nawet sturczeni Grecy. Stanowią 80% ludności tego 170 tys. regionu. Na czele autonomii stoi gubernator Mihail Formuzal.

Wybrali też swój parlament. Ale na szczęście nie stworzyli granicy utrudniającej wjazd. Jedziemy więc wijącą się na pagórkach, mocno sfatygowaną asfaltówką pośród zjawiskowo pięknych żółto–zielonych, wznoszących się i opadających pól, ozdobionych małymi drzewkami. Wreszcie widać Komrat, stolicę Gagauzji, liczącą ponad 20 tys. mieszkańców. W górze naszej drogi sklepik i cerkiew. W dole prawie lepianki Gagauzów i Romów, którzy za cały dobytek mają kilka gąsek albo czarnych owiec, bo białe to u nich rzadkość. Jakiś gospodarz odrywa się od czyszczenia ryby i wita nas z nożem w ręku. Prawie goli, brązowskórzy i skośnoocy chłopcy grają na wyciosanych z drewna miniaturowych instrumentach z chyba tylko jedną struną. Ale i tak są z nich dumni, i dotykając tej struny słyszą muzykę, o której nam się nie śniło. Dla nich dobrze, ze jest tak ciepło. Rodzice mogą zaoszczędzić na ubraniach. Kiedy stajemy obok sklepu, zagaduje nas właściciel, Wasilij Nikołajewicz, z dziećmi 3-letnią Lenką i 10-letnim Siemionem. Zaprasza do środka, bo tam chłodniej, a upał dobija do 50 stopni. Z włączonego telewizora możemy się dowiedzieć, że temperatura pobiła dziś wszelkie rekordy wysokości. Zaraz z żoną Natalią zamieniają swój sklepik ogólnospożywczy, w którym na półkach stoją te same marki artykułów co na całym świecie, w małą knajpkę. Siemion staje za ladą i oparty o szklane gabloty z cukierkami patrzy na nas z zadumą. Jego rodzice stawiają na wyciągniętym gdzieś z zaplecza plastikowym stoliku kawę, chleb, ser i oczywiście swojskie wino, które podobno ma w tym

gorącym klimacie właściwości antybakteryjne i często dodawane jest do mało przydatnej do picia wody. Ale oni są niepijący, bo tak sobie założyli. Słyszymy jak Natalia rozmawia z kupującymi. Widać, że uznają ją za „miastowy" autorytet. – *Tu czystej kultury gagauskiej nie ma* – żali się. – *Ustawodawstwo przyszło od Rosji, nawet przeklinają po rosyjsku… A nikt nie kultywuje tradycji. Nie ma tu żadnych zrzeszeń, kółek regionalnych. Gdzie możesz sobie odpocząć?* – zwraca się do męża. – *W barze* – odpowiada za niego. – *Ale ja lubię Komrat* – przerywa jej Siemion, wzorowy uczeń, któremu rodzice chcą podłączyć internet, żeby poznawał świat. – *Bo tu się urodziłem*. Cała ich rodzina mówi też w języku gagauskim, należącym do rodziny języków tureckich, od 1957 zapisywanym w cyrylicy. – *Na przykład „ja ciebie kocham" po gagausku brzmi: „Bien sieni siewierim"* – zaczyna zapoznawać nas z językiem Wasilij. Obok kolorowego, maleńkiego domku w stylu gagauskim wytyczyli miejsce na nowy. I chwalą się swoimi marzeniami, jaki będzie. Ale to dopiero kwestia czasu. Częstują nas całymi kiściami dorodnych winogron i – jak swoi – zapraszają, żeby wrócić. Zapisują adres na kartce i podają e-mail syna. Przy drodze powrotnej rozwinięte jak kolorowa wstążka szeregi handlarek, sprzedających winogrona, arbuzy, melony. Zatrzymujemy się po arbuza zamiast wody. Jedna z kobiet o gagauskiej urodzie, słysząc, że rozmawiamy po polsku wyrywa się: *Mój otiec Poliak, jestem Katia Baliński.* A więc i tu jesteśmy jak w domu.

Władysław Mickiewicz – syn wielkiego ojca

Stanisław Wyspiański, Portret Władysława Mickiewicza, pastel, 1904 r.

Władysław Pomarański

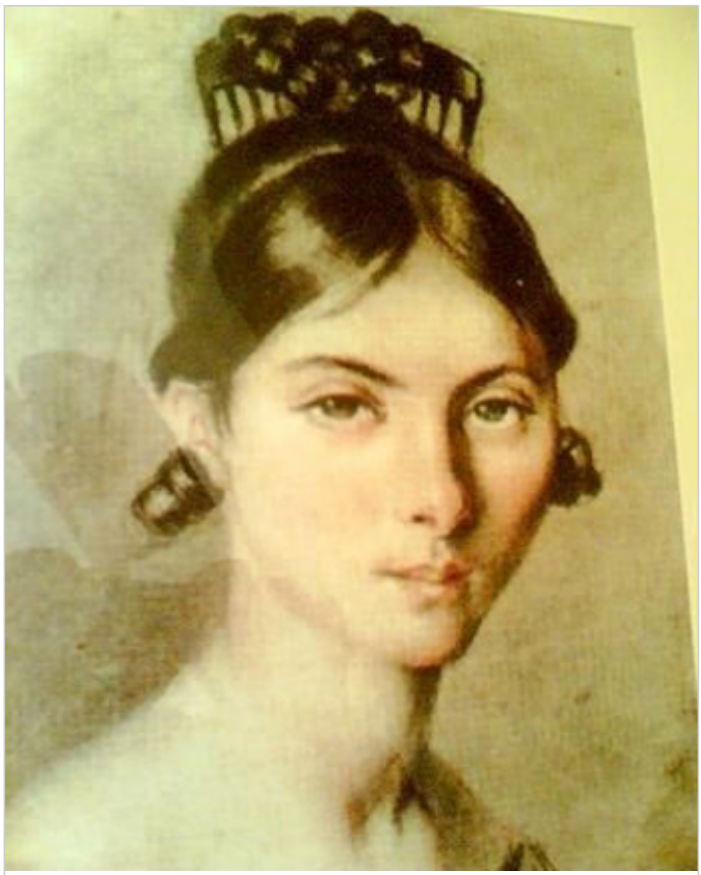
Był on drugim z sześciorga dzieci Adama Mickiewicza. W swoich pamiętnikach pisze prosto i szczerze: „Jedyną moją zasługą jest to, że byłem synem wielkiego ojca”. To zbyt skromna ocena: zrobił dużo dobrego nie tylko promując ojca, ale także będąc czynnym, szanowanym społecznikiem.

Podobne sytuacje w rodzinach w których jedno z rodziców jest osobą utalentowaną, znaną, stają się dużym obciążeniem dla tych dzieci, które idą tą samą drogą co rodzic nie mając jego talentu, przeżywają rozczarowanie, niekiedy dochodzi do tragedii. Najlepszym wyjściem jest wybór przez dziecko innego zajęcia czy

zawodu. Władysław dokonał właściwego wyboru w swym życiu. Nie poszedł w ślady ojca, bo nie miał szans mu dorównać, nie pisał wierszy, nawet wprost nie zajmował się poezją ojca, ale pisał o nim dużo, ciepło, bo cenił jego geniusz.

Ma on wielkie zasługi nie tylko jako działacz społeczny i polonijny wśród tak zwanej „Wielkiej Emigracji" we Francji, ale i dlatego, że pilnie obserwował i notował w swych pamiętnikach wszystko to, co się naokoło niego działo, a działo się dużo: Władysław żył długo, zmarł w wieku 88 lat. „Iskry" w 2012 roku wydały jego „Pamiętniki" liczące ponad tysiąc stron. Pozycja ojca jako wybitnego poety, szanowanego i podziwianego człowieka nie tylko przez Polaków, ale Francuzów, Szwajcarów, Włochów, Turków, Rosjan, Węgrów, Rumunów i innych pomogła mu w nawiązywaniu bliskich kontaktów z bardzo wieloma słynnymi ludźmi: politykami, pisarzami, działaczami społecznymi, nawet naukowcami. Władysław Mickiewicz mając bliskie kontakty z nimi podaje szczegóły, niekiedy dość intymne z ich życia, do których nie mieli dostępu zawodowi historycy. Oto kilka z wielkich nazwisk: Adam Jerzy Czartoryski (jego ojciec chrzestny), Maria Curie-Skłodowska, Giuseppe Garibaldi, Aleksander Dumas, Wiktor Hugo, Aleksander Hercen, przyjaciele ojca jeszcze z czasów studiów w Wilnie: Ignacy Domeyko, Aleksander Chodźko i wielu innych. Nawet znał osobiście i dzięki swoim wpływom spowodował zwolnienie z więzienia w kolonii karnej Aleksandra Berezowskiego, zamachowca na życie cara

Aleksandra II.



Celina, matka Władysława Mickiewicza.

Władysław do ojca miał szacunek i podziwił jego talent poetycki, ale chyba go nie kochał, co można wyczytać między linijkami „Pamiętników”; matkę Celinę z Szymanowskich szczerze kochał i podziwiał. Jego ojciec wyłania się z kart jego dzieła, jako nieco inna osoba, niż ta opisywana przez biografów poety. Czytając innych odnosi się wrażenie, że jego psychicznie chora żona była dla niego wielkim obciążeniem w życiu, to prawda, ale faktycznie

według świadectwa syna nie trudno dojrzeć sugestie, że i jej mąż nie był bez winy w procesie rozwoju jej choroby psychicznej. Wiemy że oddał ją do szpitala psychiatrycznego, w owych czasach ponurej i okrutnej wykańczalni, gdzie leczono chorych straszeniem, odbieraniem im snu i polewaniem zimną wodą. Dopiero dzięki Andrzejowi Towiańskiemu wróciła do domu, jego silna osobowość spowodowała, że wychodziła z zapaści, wtedy powracała do względnie normalnego życia. Poeta spał ze służącą, która urodziła mu córkę i mimo nalegania żony nie zwolnił jej ze służby. Całe życie byli biedni, niekiedy żyli w nędzy, tak że w pewnym okresie musieli korzystać z materialnej pomocy jednego z jego czterech braci. By nie pogrążać ojca Władysław pisze, że on nigdy nie był głodny, ale przyznaje, że żyli z dnia na dzień, brakowało odwagi by pomyśleć o jutrze. Finanse domowe, wyżywienie rodziny, opieka nad dziećmi to była domena matki, jej mąż spędzał większość czasu na pisaniu, spotkaniach, zebraniach, występach. Spotykał się z wielkimi tego świata, zachwycał ludzi swą patriotyczną poezją i postawą. Ona ponosiła trudy dnia codziennego. Dopiero gdy dostał pozycję profesora literatury łacińskiej na uniwersytecie w Lozannie, a potem pozycję profesora w nowo założonej Katedrze Nauk Słowiańskich na Sorbonie, warunki materialne rodziny poprawiły się nieco, ale nie na długo.



Rodzina Mickiewiczow.

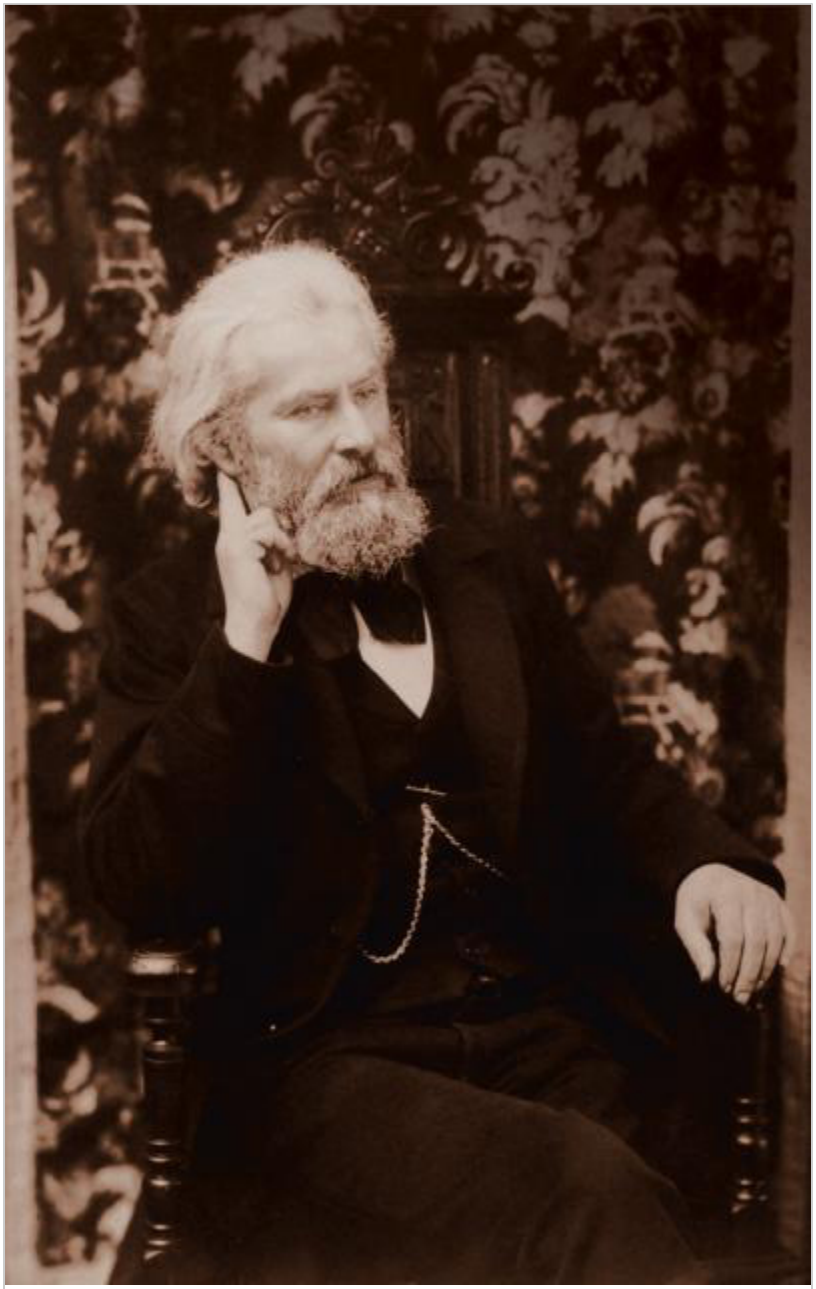
Tragicznym wydarzeniem dla poety i jego czytelników i przyjaciół było związanie się z Andrzejem Towiańskim, mistykiem i marzycielem, który zgromadził w Paryżu koło siebie grupkę zwolenników, stworzył coś w rodzaju swoistej religii, która miała być jedyną metodą nie tylko wyzwolenia krajów uciemiężonych i przywrócenia polskiej państwowości, ale zaprowadzić wieczny pokój na świecie. Tezy tej doktryny były tak nierealistyczne, niezwarte, że trudno zrozumieć dlaczego Adam Mickiewicz, wspaniały poeta, ale także wykształcony inteligent, dał się

omamić temu człowiekowi. Zaraz po przejściu na towianizm został pozbawiony pozycji profesorskiej – choć syn twierdzi, że z niej zrezygnował – bo zamiast o historii i kulturze Słowian, coraz więcej zachwycał się Napoleonem, (rzecz bardzo niepopularna w ówczesnych kołach rządowych), i coraz bardziej wciskał do wykładów tezy Towiańskiego. Po przepędzeniu Towiańskiego z Francji, poeta przejmuje kierownictwo nad tym dziwnym mistycznym ruchem: to coś na pograniczu sekty religijnej, loży masońskiej i skrajnego nacjonalizmu. Jako nowy „mistrz" przyjmuje nowych członków do grona „wtajemniczonych", przewodniczy tajnym sesjom o charakterze pseudoreligijnym i prawie masońskim, jest krytyczny wobec prawie wszystkich władców Europy oraz papiestwa. Ten skrajny zwrot życiowy odcina go od dawnych przyjaciół, staje się nieprzydatnym w akcjach społecznych, kończy się jako poeta – od tej pory nic wartościowego nie stworzył. Ten nagły odwrót Adama od rzeczywistości w świat mistyczny, beztroska o dom, zdrada małżeńska, pogłębiały chorobę żony. Jego pomysły odnośnie przyszłości dzieci były dla niej dodatkowym obciążeniem, musiała stanowczo oprzeć się niektórym z nich, jak choćby temu, by Władysława nie wysyłać do regularnej szkoły, lecz szkoły rzemiosł, aby w przyszłości miał „bezpieczne życie, bez rozczarowań". Dopiero różnice między nim i Towiańskim odnośnie szczegółów sposobu walki o wolność Polaków otrzeźwiła nieco poetę, zrozumiał, że za daleko odszedł od rzeczywistości. Zajął się znowu sprawami społecznymi w polskim

środowisku, uwierzył w wyzwolenie Polski przez legiony polskie powstałe poza Polską, rzecz nierealna i niedorzeczna by ci wolontariusze, choćby z nich powstała cała armia, mogliby wyprzeć z terenów Polski potężnego cara i dwóch cesarzy. Śmierć Celiny w marcu 1855 roku niejako dała mu w tej działalności wolną rękę: dzieci beztrosko oddaje do rodzin znajomych, każde do innej, trochę po maniacku próbuje organizować polskie legiony. We Francji zdobywa tylko siedmiu chętnych, przenosi się do Włoch, tam ma nieco lepsze rezultaty, wreszcie razem z księciem Jerzym Czartoryskim wybiera się do Turcji – wroga Rosji i przyjaciela Polaków – tam także próbuje organizować polskie siły zbrojne. Książę zajmuje się w tym czasie budowaniem wioski dla wygnańców po upadku Powstania Listopadowego – istniejącego do dzisiaj Adampola. Następuje tragedia, Adam zostaje otruty najprawdopodobniej przez kucharza Greka wynajętego do tego celu przez ambasadę rosyjską w Istambule. Oficjalnie przyjęty powód śmieci, cholera, dzisiaj wydaje się być nieprawdziwym, bo w Turcji nie było w tym czasie epidemii tej choroby, bo poeta umiera w ciągu kilku godzin od momentu poczucia się niedobrze, a na cholerę choruje się przynajmniej kilka dni, jego ciało nie szczerniało, jak to się dzieje z ofiarami epidemii, nie pochowano go w pośpiechu, jak to zawsze robiono z czasach trwania epidemii z obawy by zaraza się nie przenosiła na innych, jego ciało czekało długo na przewiezienie do Francji, a gdyby to była śmierć z powodu zarazy, władze sanitarne Francji nie dałyby pozwolenia do

wjazdu z nim do ich kraju.

Adam umiera jesienią tego samego roku co żona, dzieciom wali się świat; tak to odczuł Władysław mający w tym tragicznym roku siedemnaście lat. Z tego wszystkiego wypływa dość prosty wniosek: bardziej niż Celina Adamowi, on jej zgotował cięższy los w życiu. Władysław tłumaczy, że te wszystkie problemy domowe omijały dzieci, bo żyły one w swym dziecięcym świecie. Mam prawo wątpić w to, że najstarsza ich córka Maria i Władysław nie wiedzieli co się dzieje w rodzinie. Być może, że te wszystkie problemy małżeńskie, rodzinne i domowe spowodowały załamania psychiczne żony poety. W okresach kiedy wracała do równowagi psychicznej była dobrą matką i gospodynią domową, dlatego dzieci ją kochały. Żyła godnie i umarła godnie i nie z powodu choroby psychicznej, lecz na raka.



Władysław Mickiewicz

W „Pamiętnikach” Władysław pisząc o tej śmierci cytuje słowa listu przyjaciółki mamy, świadka zgonu. Pisze ona w tym liście, że Celina poprosiła męża, by jej przekazał opinię lekarza ile dni życia jej jeszcze zostało. Adam to zrobił i powiedział, że tylko trzy. Poprosiła o sprowadzenie księdza, wyspowiadała się. Oto

dalszy, dosłowny cytat z tego listu:

> Pani Adamowa słyszała o śmierci cara Mikołaja i na kwadrans przed zgonem mówiła o tym tak: Nie myślałam, że się spotkamy tak szybko. Do ostatnich chwil zachowała zimną krew. Nie da się opisać wyrazu jej oczu, gdy wyciągając ramiona obejmowała spojrzeniem portrety swych rodziców wiszące u stóp łoża, jakby ich samych widziała i jakby otwierali jej swe objęcia. Pan Adam nie wątpi, że w tej stanowczej chwili ci drodzy rodzice byli tam rzeczywiście i że ją ze sobą zabrali.

Przypomnę, że wspomniany car, największy prześladowca Polaków wśród wszystkich carów, Mikołaj I, zmarł 2 marca 1855 roku, Celina odeszła z tego świata trzy dni później.



Władysław Mickiewicz z rodziną. Najstarszy syn Adama Mickiewicza zyskał uznanie pomagając Polakom na emigracji i sprawie odzyskania niepodległości przez Polskę. Mówiono o nim „strażnik ojcowskich pamiątek”, „ambasador sprawy polskiej” i „godny promotor dzieł ojca”, fot. mat. prasowe.

W sześć lat po śmierci rodziców Władysław Mickiewicz wybiera się w podróż śladami swego ojca. To była najważniejsza podróż jego życia, rodzaj pielgrzymki. Jest jeszcze nieżonaty. W Istambule spotyka się z Ludwiką Śniadecką, żoną Michała Czaykowskiego, pisarza i wojownika o wolność, który dla dobra

sprawy zmienia wiarę, dostaję od sułtana nominację na stanowisko paszy, nazywa się odtąd Sadyk-Pasza. Ich pałac, tak jak w Paryżu dom Mickiewiczów, to „przystań" dla Polaków. Śniadecka musiała być wyjątkowo piękną, choć już dojrzałą kobietą, bo Władysław przyznaje się, że zakochał się w niej, jak wcześniej w Wilnie młodziutki Julo Słowacki. Z ich pomocą przedostaje się do Odessy, jednak nie udaje mu się ukryć kim jest przed najsprawniejszą w owych czasach w Europie służbą policyjno-wywiadowczą Ochraną. Ci pozwalają mu na podróżowanie po „Matiuszce Rosii", mimo że wiedzieli, że jest synem „buntowszczika" Adama, którego razem z 19-toma Filaretami i Filomatami dziesiątki lat wcześniej wydalono z Uniwersytetu Wileńskiego i zesłano w głąb Rosji za ich działalność patriotyczną. Może to, że poeta polski był przyjacielem ich największego poety Puszkina, było usprawiedliwieniem tego przywileju, ale, oczywiście, był mocno inwigilowany w czasie swej podróży. W drodze na Litwę, do ojczyzny ojca, spotyka wielu wspaniałych ludzi. Pierwszy przystanek po Odessie to Kijów. Tu poznaje polskiego patriotę Stefana Bobrowskiego, późniejszego naczelnika Warszawy w czasie Powstania Styczniowego. Był on wujem Conrada, czyli Józefa Korzeniowskiego, marynarza i wspaniałego pisarza powieści w języku angielskim, uznawanego przez anglojęzycznych krytyków literackich za jednego z największych mistrzów tego języka. Nie mając możliwości nawiązania z nim kontaktu, odwiedza w Żytomierzu jego ojca Apollona, „poetę po

mistrzowsku władającego wierszem”. Tu poznaje także Józefa Ignacego Kraszewskiego. Stali się przyjaciółmi, przetłumaczył jego powieść „Ulanę” na język francuski i opublikował w swoim piśmie. Gdy Kraszewski wpadł w kłopoty z prawem i znalazł się w więzieniu, Władysław poprzez swoje wpływy pomógł mu wydostać się na wolność. Wreszcie dociera do Nowogródczyzny, odwiedza Zaosie, gdzie ojciec się narodził, odwiedza Tuhanowicze, gdzie Adam poznał swą pierwszą miłość Marylę Wereszczakównę. Ta nie chciała się z nim spotkać, może dlatego, że mogła być ciężko chora, bo w rok czy dwa później umarła, a może i dlatego, by nie wspominać trudnych chwil z przeszłości i wtajemniczać syna w swoje intymne stosunki z ojcem. Przypomnę, że jej rodzice przerwali ich romans, ożeniono ją bogato z hrabią Wawrzyńcem Puttkamerem. Gdy się okazało, że jest niezdolny do współżycia małżeńskiego, że ona musi żyć w tak zwanym białym małżeństwie, wtedy przypomniała sobie o poecie, nawiązuje ponownie z nim romans. Władysław jedzie nad jezioro ich wzdychań miłosnych, nad Świteź, o którym poeta napisał jeden ze swych najpiękniejszych, najbardziej romantycznych wierszy. Następne miejsce zatrzymania to Petersburg. Pamięć o jego ojcu była tam ciągle żywa, jest przyjmowany jak osoba bardzo ważna. Kniaź Piotr Wiaziemski, przyjaciel Puszkina, wydaje wspaniałe przyjęcie na jego cześć, i choć był cenzorem carskim, pozwolił, podkreślając tym swą radość z tego spotkania, by ktoś recytował fragmenty „Dziadów”, tego chyba najbardziej patriotycznego i antyzaborczego dzieła

Adama Mickiewicza. W Petersburgu Władysław spotkał kuzynkę Marię Malewską, zakochali się w sobie, jej ojciec, szwagier i przyjaciel jego ojca, a w tym czasie wysoki urzędnik na dworze cara, z dużymi oporami zgodził się ostatecznie na ich małżeństwo.

Na tereny zaboru rosyjskiego Władysławowi nie wolno było wjeżdżać, udaje mu się jednak dostać do Warszawy i to tuż przed wybuchem Powstania Styczniowego. Jest powszechnie znany, dopuszczano go do uczestnictwa w przygotowaniach do powstania, a w jego „Pamiętnikach" znalazło się kilkadziesiąt bardzo ciekawych stron o Warszawie i Warszawiakach. W kilka lat później biega po Paryżu by znaleźć locum i środki utrzymania dla wielu z tych, z którymi konspirował w Warszawie przed powstaniem.

Po upokorzeniu Francji przez najazd pruski Władysław Mickiewicz intensyfikuje jeszcze bardziej swoją działalność patriotyczną i pisarską. W tak zwanej Komunie Paryskiej brali udział jako wodzowie jego znajomi trzej generałowie polscy: Jarosław Dąbrowski, Roman Czarnowski i Walerian Wróblewski; temu ostatniemu Władysław uratował życie, opisuje w „Pamiętnikach" ich udział w tym zrywie patriotycznym. W roku 1864 zakłada wydawnictwo o nazwie Księgarnia Luksemburska, wydaje 68 dzieł patriotycznych w ramach serii „Biblioteka Ludowa Polska" i około stu innych tytułów. Pisze nie tylko

wspomniane „Pamiętniki”, które były nieznane ogółowi w czasie jego życia, ale pisze i wydaje czterotomową książkę „Żywot Adama Mickiewicza”, inne kilkutomowe dzieło pod tytułem „Emigracja Polska 1860-1890”, wydaje także dzieła literackie swego ojca w 11 tomach i w kilku tomach jego korespondencję. Współpracował z przyjacielem i uczniem ojca, Arnandem Levy, któremu udało się przewieźć zwłoki Adama Mickiewicza z Turcji do Francji, w jego piśmie „Le Patriot” drukując w nim szereg artykułów. Zaangażował się w proces przewiezienia zwłok jego ojca na Wawel, udało się to zaaranżować mimo tego, że Polska ciągle była jeszcze w niewoli. Doczekał się jednak czasów, o które walczył: żył jeszcze przez osiem lat od momentu powrotu Polski na mapę. Pisał teraz przeważnie do polskich czasopism: *Dziennika Poznańskiego, Tygodnika Ilustrowanego i Wiadomości Literackich*. Uniwersytet Wileński nadaje mu tytuł honorowego profesora, Uniwersytet Jagielloński czyni go swoim doktorem honoris causa, prezydent kraju nadaje mu Krzyż Komandorski Polonia Restituta. Umiera 9 czerwca 1925 r.

Kondukt pogrzebowy Wladysława Mickiewicza.

Najciekawszym jego dziełem są, moim zdaniem, jego „Pamiętniki”. Zawierają masę informacji historycznych i ciekawostek – to prawdziwy dokument długiej epoki w dziejach

Europy i niejako powiew świeżego powietrza z tego powodu, że rozwiewa w nich wiele zastygłych stereotypów. Oto jeden z przykładów. W domu Mickiewiczów według powszechnego wierzenia wypowiadanie nazwiska Juliusza Słowackiego miało uchodzić za rzecz wprost nieprzyzwoitą. W rzeczywistości nie tylko było ono wypowiadane, ale Władysław Mickiewicz przetłumaczył na język francuski wydrukował w swoim wydawnictwie tom jego poezji, cytuje w „Pamiętnikach" odczyt G. Leconte'a w Towarzystwie Literatów, w którym znajduje się ta wypowiedź: „Pośród współczesnych Mickiewicza wymienić możemy nazwiska: Słowackiego, wizjoniera i proroka… „. Inne z wymienionych nazwisk to Bohdan Zalewski i Zygmunt Krasiński.

Ciekawy człowiek, patriota, tytan pracy, wielki społecznik – warto o nim pamiętać!